

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

SELIM MIRZA

WYDAWNICTWO TOWER PRESS

GDAŃSK 2002

I

Było to na wiosnę podczas wojny francusko-pruskiej. Belfort oblężony był przez Prusaków, oddział zaś wolnych strzelców, w którym służyliśmy od pół roku obaj z Selimem, towarzyszem moich lat dziecińczych, kręcił się za ich plecami, bijąc się prawie co dzień, chwytając posłańców z depeszami, napadając konwoje z żywnością.

Oddział ten był zbieraniną wszelkiego rodzaju awanturników, po największej części cudzoziemców, ludzi skłonnych do rabunku, grabieży i wszelkiego rodzaju nadużyć, ale też nie ceniących życia, nie mających nic do stracenia, na wpół zdziczałych wśród ciągłego boju i prowadzących rzemiosło wojenne z instynktem i zamiłowaniem dzikich zwierząt. Sami nazywaliśmy się myśliwymi na ludzi, choć trudno było powiedzieć, kto tu był myśliwym, kto zwierzyną, bo i nas tropiono bez odpoczynku z całym niemieckim uporem i wytrwałością. Nie dawaliśmy spokoju, ale też nie mieliśmy go sami ani we dnie, ani w nocy. Wśród dnia leżeliśmy po największej części w zaroślach, lasach i winnicach, w nocy, zwłaszcza jeżeli zdarzyła się noc ciemna i dżdżysta, wychodziliśmy na łup, podkradaliśmy się pod same obozowiska pruskie, porywaliśmy ludzi z placówek, tępiiliśmy patrole, zasadzaliśmy się w rowach kolei żelaznych na pociągi lub wyrywaliśmy szyny, psuli telegrafy itp.

Nikt nigdy, nawet i rząd Gambetty, nie wiedział, gdzie jesteśmy, co robimy i gdzie się udamy. Byliśmy oddziałem luźnym. Nie braliśmy wcale żołdu; jedliśmy najczęściej to, cośmy zdobyli na Prusakach, piliśmy wódkę ułanów pruskich, otoczeni na wszystkie strony – zamknięci, rzecz można, naokoło murem dział i bagnetów, nie paliliśmy prawie nigdy ognisk, zmoczeni deszczem – suszyliśmy się na słońcu, zziębnięci – ogrzewaliśmy się w karabinowym ogniu.

– Mieszkamy za kołnierzem u Prusaków – mawiali nasi żołnierze.

Istotnie, daleko za nami była Francja walcząca, uciekająca, były francuskie miasta, francuski rząd, armia, jednooki dyktator, manifesty, generałowie w złotych mundurach, gazety, szpitale wojskowe, zapasy żywności, ale to wszystko było poza nami. Blżej były oddziały pruskie, bawarskie, saskie, my w ich środku.

Nieraz żelazna dłoń jakiegoś pruskiego generała opuszczała się na nas ostrożnie i cicho, jak ręka człowieka, który chce schwycić uprzykrzony owad. Upatrzywszy chwilę, dłoń ta spadała wreszcie jak piorun i chwyciła tylko powietrze – my byliśmy już gdzie indziej.

Czasem znów podstawialiśmy bagnet pod taką dłoń, wówczas cofała się z okrzykiem wściekłości.

Ustawiczna wojna, zdrady, zasadzki wyrobiły w tych ludziach prawdziwie wileczy instynkt. Nie potrzebowali prawie dowództwa: działali cicho, sprawnie, przezornie; wtedy, kiedy polowano na nich, ani chwili nie przestawali polować sami, umieli czyhać po całych nocach i po całych nocach tłumić oddech, i po całych nocach wyęźać wzrok w jedną stronę, z której miał nadejść łup.

Ryzykując ustawicznie wszystko, umieli zachować ostrożność kota. Nieraz, gdyśmy leżeli w zaroślach, oddziały pruskie przechodziły tak blisko, że zdarzało mi się słyszeć głosy oficerów, ale – jeżeli oddział był zbyt silny – nie padł ani jeden strzał.

Pułk wojska, idący wśród promieni słonecznych, rzuca cień.

– Byliśmy zawsze pewni, że kryjecie się w naszym cieniu – rzekł do nas jeden jeńiec.

Istotnie, byliśmy cieniem pruskim.

Ludzie nasi zatracili w sobie z wolna wszelkie uczucia ludzkie; nie mogli powiedzieć, żeby się bili dla Francji i za Francję, bili się, żeby się bić. O Francję nie dbali. Żołnierzy francuskich z innych oddziałów lub z armii regularnej nie cierpieli tak prawie jak Prusaków, a pogardzali nimi więcej niż Prusakami. Przy spotkaniach, które zresztą rzadko się zdarzały, przychodziło zawsze do kłótni i bójek.

– Prusacy uciekliby, gdyby zobaczyli wasze twarze – mawiali do innych nasi żołnierze – ale zawsze widzą tylko wasze... spodnie.

Słowem, był to oddział pod każdym względem wyjątkowy, ale nie był liczny, owszem, topniał coraz bardziej, zarówno przez ciągłe bitwy, jak i przez trudy prawie nadludzkie. Przy tym los rannych lub chorych naszego oddziału był straszny. Zostawiano ich po prostu w lesie. Raz, gdy jeden człowiek z nerwowego wycieńczenia upadł i prosił, żeby go dobić, słyszałem, jak odpowiedziano mu:

– Nie bój się, baranku, wilki cię tu znajdą.

Kandydatów nowych brakło, bo taka służba nie nęciła, choć z drugiej strony dawała obfitą nadzieję łupu. Zegarków, pieniędzy i pierścionków, zdjętych z trupów, mieli nasi ludzie tyle, że nie wiedzieli, co z nimi robić. Ale też i nie dbali o nie. W karty nie wolno było grać, kupować nie było co i gdzie, chować nie było warto, bo każdy wiedział, że prędzej czy później zginie.

Oddział więc co dzień stawał się mniejszy; kandydatów brakło jeszcze i dlatego, że nie było w nim żadnej dosługi. Żołnierz miał w kieszeni śmierć, nie buławę marszałka. Rząd Obrony Narodowej w biuletynach swoich wspominał o nas bardzo rzadko.

– Oni o nas nie wiedzą – mawiał nasz dowódca, który tego rządu nie cierpiał.

Jednooki dyktator chciał nas jednak widzieć i przesłał rozkaz do La Rochenoire'a, naszego dowódcy, ażebyśmy się stawili na wskazane miejsce, ale La Rochenoire nie usłuchał rozkazu i zamiast na wskazane miejsce, poszedł na zasadzkę.

– Jeżeli nas chce widzieć – rzekł – niech przyjedzie do nas balonem, on to umie.

Zresztą, na paradzie oddział nasz źle by wyglądał: ludzie byli wychudli, poczernieni dymem, w mundurach podartych na strzępy, o oczach zaszytych krwią; niektórzy mieli głowy poobwiązywane chustkami, poplamionymi zaschlą posoką, nie czesani, nie myci, podobniejsi byli do zwierząt niż do ludzi.

Ja znalazłem się w tym oddziale wypadkowo: namówił mnie do tego Selim. Kiedy wojna rozgorzała i kiedy obaj wybieraliśmy się z Paryża, ja chciałem wstąpić do armii regularnej, ale Selim rzekł:

– Pójdziemy do La Rochenoire'a.

– Co to za jeden?

– Formuje oddział strzelców.

– Czy go znasz?

– Tak.

Skąd go znał, nie chciał mi nigdy powiedzieć, domysły zaś moje w tej mierze nie mają nic pewnego. Wiem, że jeszcze przed wojną Selim, który miał sporo pieniędzy, więcej nawet niż ich mógł wydać, awanturował się w Paryżu; wiedziałem, że miał pojedynek z kimś należącym do arystokracji francuskiej i że trzykrotnie wytrącił mu szpadę z rąk, szczegółów i nazwisk jednak nie wiedziałem nigdy dokładnie. Były to czasy, w których z Selimem nie żyliśmy blisko. Naprzód, on był bogaty, po wtóre, bądź co bądź, dzieliło nas wspomnienie Hani. Wprawdzie Selim postąpił z Hanią jak człowiek honoru, nie mogłem jednak opędzić się myśli, że gdyby nie on, ukochana moja Hania nie przeszłaby strasznej choroby, nie przywdziałaby sukni zakonnej, że wreszcie, gdyby nie on, ja byłbym szczęśliwszy: nie miałbym w duszy takiej pustki, z jaką nosiłem się od lat ośmiu, i może nawet – zamiast tułać się za granicami kraju – orałbym spokojnie zagon rodzinny.

Na koniec, bolało mnie jeszcze i to, że podczas gdy ja, który mniej względem Hani zawiniłem, nosiłem się jednak ze smutkiem i jakby wyrzutem w duszy, Selim zapomniał o niej zupełnie. Przybywszy do Paryża oddał się szumnemu, gorączkowemu życiu tego miasta z

całą namiętnością swej wschodniej natury. Selim nigdy i w niczym nie znał hamulca. Jego majątek, rodowe nazwisko Mirzów-Dawidowiczów, tej dumnej szlachty, jego wykształcenie wreszcie, bystrość umysłowa, żartki dowcip, a na koniec piękność, odziedziczona po matce, otworzyły mu wszystkie podwoje rozkoszy w stolicy świata. Przyjmowano go wszędzie i rozrywano wszędzie. Ach, bo też piękny był ten chłopak jak pomysł artystyczny, z ty ma swoimi anielskimi oczyma, biorącymi wprost za serce, z głową o liniach godnych dłuta rzeźbiarza, z wyniosłą giętką postawą, ze skrzydlatą młodością i bogactwem życia tak nieprzebrany, że im więcej rozrzucał je na wszystkie strony, tym więcej zdawał się je posiadać.

A przy tym nie był to piękny mężczyzna w znaczeniu tylko bulwarowym, jak zwykł był pojmować piękność Paryż: w znaczeniu zwykłym, pospolitym. Wszystko, począwszy od umysłu, od owego nadmiaru życia, z którym sam nie wiedział, co ma robić, a skończywszy na rysach twarzy, było w nim oryginalnym, niecodziennym.

Dla Paryża ten młody Tatar o rysach anioła, sile atlety, odwadze lwa i herbowej tarczy rycerza był to kwiat o nieznannej barwie i woni. Łatwo zrozumieć, jak wyglądali przy nim markizowie nadsekwańscy: ich – życie szalone wyczerpywało, jego – zdawało się wzmacniać, oni byli duszami zgasłymi jak wypalone lampy, on na wskroś był płomieniem, oni się przeżyli, on nie wiedział, co z życiem robić, oni byli rozczarowani, on sam był czarem i wszystko naokół niego było dlań czarem.

Dla nich orgia była podniecią stępałych nerwów, dla niego – ochłodą przed zbytnim żarem krwi. A przy tym męty leżące na dnie kielicha nie czepiały się jego ust, zło odpadało od tej szlachetnej natury jak suchy piasek od skały.

Charakter ten urabiał się w moich oczach, widziałem, jak się rozwijał prawie z dnia na dzień, dlatego znałem go na wskroś. Był to tenże sam Selim z lat dziecińczych, tylko podniesiony do potęgi.

Przeświadczenie o własnych siłach dało mu pewność, przeświadczenie zaś, poparte wrodzoną inteligencją, o niskości i fałszywych pozorach większej części dusz ludzkich nauczyło go lekceważyć mężczyzn. Zarody niepohamowanej energii i przedsiębiorczości, jakie tkwiły w nim od lat dziecińczych, wybujały teraz do najwyższego stopnia, okrzepły i czyniły go pod pewnym względem niebezpiecznym.

Została mu dawna żywość i trochę nieopatrzności, która łatwo mogła przy namiętej, wrodzonej mu naturze przechodzić w zapamiętanie i szaleństwo, ale od zapamiętania i szaleństwa broniła go świadomość siebie, którą daje ludziom wykształcenie i subtelne, filozoficzne poniekąd poczucie każdego czynu, słowa, położenia i idei.

Nie był nigdy sentymentalny, ale jeżeli coś podobnego do sentymentalizmu drzymało za lat dziecińczych, choćby w atomie tylko, w jego naturze, teraz rozwiało się to bez śladu. Oto dlatego wspomnienie Hani nie zostawiło w nim ani cienia smutku lub zarzutu. Kochać się umiał wśród śmiechu, pocałunków, radości i wesela, wzdychać nie umiał.

Takie usposobienie jednak zgadzało się z charakterem i usposobieniem kobiet stolicy świata, dlatego kobiety te szalały za nim, chociaż wiedziały, że zdradzi je równie łatwo, jak bez wyrzutów; kiedy zaś o tym z nim mówił, odrzekł mi:

– To nie obowiązuje, bawię się. Gdybym znalazł prawdziwą miłość, dałbym sobie rękę uciąć, ale jeżeli ona istnieje, z nas dwóch ty jej będziesz dłużej szukał, ale ją znajdziesz prawdopodobniej.

– Więc zwodzisz, gdy mówisz: kocham?

Uśmiechnął się.

– Nie! wiem wprawdzie, że później zwiode, ale gdy mówię, nie zwodzę.

Mężczyźni, z którymi się spotykał, dzielili się na dwa obozy: jedni przepadali za nim, drudzy go nienawidzili. Co do Selima, miał swój nader oryginalny pogląd na nich.

– Wolę tych, którzy mnie lubią, ale szanuję więcej tych, którzy mnie nienawidzą, ci są samodzielniejsi – mówił do mnie.

Potem zaś zwykle dodawał:

– Zresztą nie dbam o wszystkich.

Jednakże był doskonałym towarzyszem. Serce miał dobre, poczciwe, serce na dłoni, więc pomagał, komu mógł i gdzie mógł, ale w przyjaźń nie wchodził łatwo; w chwili, kiedy z kimś dzielił się wszystkim jak z bratem, kochał go też jak brata, wtedy uczucie jego bywało szczere, niemal naiwne, płynące z głębi duszy, ale potem też same stosunki brał lekko. Selim wszystko brał trochę lekko.

Jednakże, gdy z powodów, o których już wspomniałem, odsunąłem się cokolwiek od niego i począłem żyć zamknięty więcej w sobie, Selim gryzł się tym nie pomału. Z początku niejednokrotnie pytał mnie:

– Czego ty, wariacie, chcesz ode mnie?

Później przestał pytać, ale nie przestał boleć wewnętrznie. Nieraz ze zgiełku, rozkoszy, blasków i wielkiego życia biegł do mojej izdebki na Montmartre i siadłszy pod oknem, wodził troskliwie za mną swymi anielskimi oczyma, jakby pragnąc dopytać się do mego serca. Co do mnie, nie przestałem go kochać, owszem, może właśnie dlatego, że usposobienia nasze były wprost przeciwne, miałem dla niego tyle przynajmniej słabości, ile przywiązania.

Ale cień Hani, który dla niego przestał istnieć, dla mnie stawał między nami. Zresztą miałem i inne powody.

Oto nie mogłem z nim żyć na równi, a przy tym on był wesoły, ja byłem smutny. O tak, ja miałem dosyć powodów do życia z daleka od Selima, ale ich nie mógł mu zwierzyć, bo się obawiał jego współczucia. Miałem to w naturze, że goryczami nie dzielił się z nikim nigdy. Kiedy poczułem cierń w sercu, wtedy zamykałem je tak, jak się zamyka muszla, w którą wpadnie ziarnko piasku. Zresztą tak samo nie zwierzałem się nikomu i w szczęściu. Kto to czyni, czyni na mocy wewnętrznej potrzeby, ja nie czułem tej potrzeby.

W takich więc warunkach żyliśmy od lat kilku w Paryżu. Jam wegetował, on kwitł. Tymczasem wybuchła wojna. Wiadomość o niej przyjęliśmy obojętnie. Cały Paryż uważał ją z początku jakby wojenną paradę. Sądono, że sam widok brodatych żuawów i czarnych Afrów rozproszy Niemców na cztery strony świata. Sami owi żuawi i turkosi ciągnęli z Paryża na wschód, jak stada ptaków drapieżnych na łup. Dyszeli żądzą boju i krwi, drżeli z niecierpliwości, by jak najprędzej znaleźć się w dymie, huku i kurzawie wojennej. Paryż upoił się, ale o przyszłość był spokojny.

– Jeden więc tryumf – sądono – i oto koniec będzie wszystkiemu.

Ale kiedy dym z dział pod Wissenburgiem, Gravelotte i Sedanem opadł, przerażone oczy Francuzów ujrzały klęskę najstraszniejszą, jaka kiedykolwiek na nich spadła. Owe pstre, czerwone, czarne pułki pierzchnęły przed żelaznymi legionami Niemców jak leśne ptactwo przed stadem jastrzębi, a naokoło stolicy świata zacieśniał się coraz bardziej ciemny a groźny mur pruskich wojowników. U bram Paryża, po nocach, zaczęło się rozlegać rzenie konia Attyli. Od czasu do czasu wśród milczącego miasta zatętniły kroki gońca i rozległ się głos: „Pobili naszych! nowa klęska!” Paryż na chwilę przykląkł, jak buhaj uderzony obuchem między rogi, ale potem podniósł się i ryknął.

Cały zresztą naród zerwał się do obrony. Groźny jednooki dyktator pożegłował z miasta balonem. Szale wojenne poczęły się wahać na nowo. Na północy, na południu, na wschodzie i zachodzie Francji formowano oddziały, armie wyrastały spod ziemi jak grzyby. Kraj najeżył się bagnetami.

W takich to czasach pewnego wieczora wpadł do mnie Selim z rumieńcami na twarzy i z zaiskrzonymi oczyma. Wpadłszy rzucił mi się na szyję.

– Pójdziemy się bić! – zawołał.

Dawno chciałem to uczynić, więc słowa jego przyjąłem chłodno. Sądził, że to ów dawny chłód, który od kilku lat oddalał nas od siebie, więc rzekł prędko:

– Było coś między nami, ale – na mojego proroka!– niechaj to pójdzie w niepamięć. Henryku, znów strzeamię do strzemienia!

Przypomniałem sobie, jak mój ojciec rzekł do mnie, kiedy miał mieć pojedynek z Selimem:

– A to już bij, synku, aż się wszyscy diabli będą śmieli.

Więc odpowiedziałem podobnie Mirzie:

– Tak, będziemy bili, Selimie, aż będzie w piekle słyhać.

Potem uściskaliśmy się, a potem zaczęli sprzeczać. Ja chciałem zostać w Paryżu i bić się pod jego murami, Selim pragnął wydostać się z murów i zaciągnąć się do wolnych strzelców.

– Tu hołota mieszczańska zmykać będzie.

Potem zaczął mi opowiadać o La Rochenoirze i zaręczał, że pod jego komendą znajdziemy, czego szukamy.

– On mnie nie cierpi – rzekł – ale to szczególniejszy człowiek. Nigdy nie spotkałem podobnego charakteru. Dałbym głowę za niego.

Czytelnicy wiedzą już, że na próżno wypytywałem się Selima o bliższe szczegóły pojedynku z La Rochenoirem. Domyślałem się, że on to był tym markizem, któremu Selim w pojedynku wytrącił trzykrotnie broń z ręki, ale zresztą Selim miał mnóstwo pojedynków, trudno więc było coś stanowczego wnosić.

– Powiadam ci, że takich ludzi nie ma, może trzech na świecie – mówił do mnie z naleganiem.

Ustąpiłem wreszcie, bo zwykle ustępowałem Selimowi, ale uczyniłem to z przykrością. W Paryżu dość było wziąć karabin i wyjść za mury, żeby się bić, ile dusza raczy – za Paryż trzeba się było wydostawać balonem. Ta powietrzna żegluga nie uśmiechała mi się. Zresztą chciałem zaciągnąć się do jazdy, oddział zaś La Rochenoire’a był pieszy, ale Selim uparł się – i ustąpiłem.

Puściliśmy się więc w dwa dni później balonem, wioząc ze sobą mnóstwo depesz dla dyktatora. Dzień był chmurny, dżdżysty. Statek nasz, który w mieście samym wzbil się od razu w górę o kilka tysięcy stóp, tuż za miastem opadł na dwa strzały karabinowe nad ziemię i włókł się ociężale ponad samym obozem pruskim. Widziałem cały obóz jak na dłoni, białe morze namiotów, reduty, działa wartowników w spiczastych hełmach, stojących nieruchomo jak posągi naokół obozu. Większe i mniejsze grupy żołnierzy ukazywały nas palcami, generałowie patrzyli na nas przez lunety i cały obóz zawrzał ruchem, którego gwar dolatywał aż do nas. Strzelono do naszego statku z małego polowego działka, ale nie słyszeliśmy nawet świstu kuli. Mr Vaucourt, kapitan balonowy, dzielny aeronauta, ale wielki tchórz, umierał ze

strachu na dnie łodzi. Selim śmiał się jak dziecko, klaskał w ręce, kłaniał się Niemcom i wołał na nich wszystkimi językami, a przy tym potrzasał łódką, co powiększało jeszcze strach pana Vaucourt, ja zaś trzymając karabin śledziłem, czyby nie można dać strzału, ale zarówno zbytnia odległość, jak i kołysanie się łodzi stały temu na przeszkodzie.

Jednakże, kiedy dotarliśmy do ostatnich placówek obozu, balon zniżył się jeszcze bardziej. Teraz i Selim uchwycił za karabin, a oczy zaiskrzyły mu się jak u wilka. Wyteżył wzrok w jedną stronę i po chwili rzekł do mnie:

– Patrz!

Spojrzałem w stronę, którą mi ukazywał, i przez przezroczystą mgłę, wśród której płynęliśmy w tej chwili, dojrzałem, jak od czarnej ogromnej masy ludzi oderwało się kilkadziesiąt postaci na koniach i poczęło dążyć za nami.

Wkrótce gołym okiem mogliśmy dostrzec kwadratowe czapki ułańskie, mundury, lance i barwę chorągiewek. Z dołu dochodziły nas ich okrzyki; wkrótce znaleźli się tuż pod nami. Tymczasem statek zniżył się jeszcze bardziej i płynął coraz wolniej.

– To ułani! – zawołał Selim.

– *Nous sommes perdus!* – zajęczał pan Vaucourt.

Ułani tymczasem sadzili, co koń wyskoczy, ale bez najmniejszego porządku. Na przedzie biegł oficer, rosły mężczyzna o jasnej brodzie. Kasztanowaty koń jego, widać dzielniejszy od innych, sadził jak szalony wprost pod balonem, wyrzucając ziemię kopytami. Oficer, nie bacząc na drogę, z podniesioną do góry głową patrzył jak w tęczę w statek, krzycząc po niemiecku:

– Mamy was! mamy was!

– Trzymaj! – odpowiadał mu, śmiejąc się, Selim. Tymczasem wpłynęliśmy na łąkę, porośłą kępami szuwarów i widocznie trochę bagnistą, konie bowiem ułanów poczęły więznąć i padać, blisko połowa została już za nami i wkrótce też zatrzymała konie, oficer jednak i dwudziestu innych ludzi dotrzymywali nam w biegu doskonale.

– Co za dzielne konie! – rzekłem do Selima.

– Można by już strzelać – rzekł.

Istotnie, nie byliśmy wyżej niż na dwieście kroków nad ziemią, ale strzelać było trudno z powodu kołysania się łódki, która chwilami przybierała prawie poziome położenie.

– Czy nie możesz pan sprawić, żeby ta diabelska łódka nie tańczyła jak baletniczka? – krzyczał podniesionym głosem Selim, jak gdyby pan Vaucourt był głuchy.

– *Nous sommes perdus!* – jęknął pan Vaucourt.

Wówczas Selim, trzymając się jedną ręką lin, powstał w łódce, drugą zaś zmierzył z karabinu do oficera, jak gdyby strzelał z pistoletu.

– Chybisz – rzekłem.

– Spróbuję.

Rozległ się głucho strzał, któremu natychmiast odpowiedział okrzyk wściekłości z dołu. Spojrzałem: oficer nie patrzył już w górę, ale upadł twarzą na grzywę konia, a wkrótce zwałił się na ziemię.

Jednocześnie jednak znizyliśmy się tak, że lina próbna, jaka zwykle wisi pod balonem, dotykała prawie ziemi. Szczęściem, ułani zatrzymali się nad zabitym oficerem, skutkiem czego zdołaliśmy się oddalić od nich na kilkaset kroków.

Pan Vaucourt oprzytomniawszy wyrzucał ze statku wszystko, co się jeszcze dało wyrzucić, ale widocznie gaz przesiąkał przez rozmokłą kitajkę, czy może w górnej części statku porobiły się otwory, dość, że lina próbna poczęła już niemal trzecią częścią swej długości uderzać o ziemię, sprawiając niezmierne kołysanie się łódki.

Ułani, spostrzegłszy to, znowu rzucili się w pogoń, ale konie ich pomęczone nie mogły tak długo biec za nami, wkrótce więc zostało ich tylko pięciu, następnie, po kilkunastu minutach, znowu koń pod jednym padł i nie powstał więcej.

– Już tylko czterech – rzekł Selim.

– Daj ognia, a będzie trzech.

– Za daleko, zresztą łódka chyba się wściekła.

– Jednakże nie potrzebujemy już uciekać.

– A zatem dobrze! Panie Vaucourt, otwórz klapę, niechaj gaz wyjdzie, chcemy wysiąść.

– Panowie! – zawołał z rozpaczą Francuz – czyście rozum stracili? Jak to, czterech tych diabłów sady za nami, a my dobrowolnie chcemy się im oddać? Nigdy!

– Panie Vaucourt, otwórz klapę i spuść kotwicę – powtórzył groźnie Selim.

– Nigdy.

Wówczas Mirza odwrócił się do mnie i rzekł spokojnie:

– Bądź tak dobry, przyłóż lufę karabinową do ucha pana Vaucourt; niechaj wybiera.

Odwróciłem się i trzymając się jedną ręką lin, drugą skierowałem karabin do ucha pana Vaucourt.

– Daję panu minutę czasu do namysłu.

Pan Vaucourt począł przeklinać naszą narodowość, chwilę, w której przyszedł na świat, siebie, Paryż, Prusaków, ale spuścił kotwicę i drżącymi rękoma otwierał klapę z takim pośpiechem, jakby od tego ocalenie Francji zawisło. Poczęliśmy spadać na dół jak kula.

– Trzymaj się! – krzyknął Selim.

Jednakże nie obrachowaliśmy jednej rzeczy. Oto z łódki balonu nie wysiada się tak jak z powozu; kotwica zaczepiła się wprawdzie o kępę, ale łódka uderzyła tak silnie o ziemię, że wylecieliśmy wszyscy trzej w trzy różne strony jak z procy. Co gorsza, karabin wypadł mi z ręki, sam zaś upadłem twarzą na kępę.

Zerwałem się natychmiast, ale nie zdążyłem jeszcze rzucić okiem za moim karabinem, gdy tuż koło ucha mego rozległo się chrapanie konia i warczenie chorągiewki ułańskiej.

– W prawo, w prawo! – krzyknął Selim.

Nie zdołałem jeszcze uskoczyć, gdy huknął strzał i jeździec, który już dosięgał mnie lancą, jakby piorunem rażony łypnął oczyma i zwałił się ciężko z siodła.

Ach, Mirza, spadając, widocznie nie upuścił swego karabina!

Pochwyciłem i ja za mój i spojrzałem naokoło. Teraz Selim był w niebezpieczeństwie. Dwóch jeźdźców parło na niego całą szybkością koni, wyjąc i wrzeszcząc jak opętani. On zaś z rozwianym włosom, bez kapelusza, z rozdętymi nozdrzami i rumieńcami na twarzy, czekał na nich spokojnie, ściskając w obu rękach karabin. Ach, jeden z jeźdźców brał Selima na cel z pistoletu – pociągnąłem za cyngiel.

Z trzech atakujących nas pozostał jeden, ale o rezultat walki byłem już spokojny. Mirza zbyt biegłym był fechtmistrem na wszelką białą broń, aby ów rezultat mógł być wątpliwy.

Pozostał jeszcze czwarty ułan, ale ten ujrzawszy z odległości dwustu kroków rezultat walki, zdarł konia wędzidłem tak, że aż tylne nogi zwierzęcia zaryły się głęboko w trawę, potem począł uciekać tak szybko, jak tylko zmęczony biegiem koń mógł nadażyć.

Selim strzelił za nim jeszcze, ale bez rezultatu, odległość bowiem była zbyt wielka.

Ręka Prusaka, którego Selim zastrzelił tuż nade mną, nie puściła cugli, dlatego koń jego stał z pochyloną głową nad martwym ciałem swego pana.

Obaj z Selimem wyplątaliśmy z trudnością cugle z tej ręki, której palce były już zeszywniałe, po czym Selim wskoczył na siodło i pogalopował za dwoma innymi końmi, z których jeden, zwierzę widocznie głupie, począł gryźć sobie trawę, tak jak gdyby nic nie zaszło, drugi zaś biegł po łące galopem i krótkim rzeniem oznajmiał swoją żalność.

Gonitwa za końmi zajęła Selimowi trochę czasu, w kwadrans jednak schwytał obydwa, ja tymczasem poszedłem szukać pana Vaucourt, z którym nie wiedziałem, co się dzieje.

Znalazłem go za kępą szuwarów, leżącego twarzą do ziemi, i począłem go wstrząsać za ramię.

– Panie Vaucourt, wstawaj pan!

– *Pardonnez moi!* – jęczał pan Vaucourt, sądził bowiem, że to ułan pruski namawia go, by wstał. Biedakowi nie przyszło do głowy, że Prusak nie wołałby na niego po francusku.

– Panie Vaucourt! to my; nie ma już ułanów, to my, pańscy towarzysze!

Pan Vaucourt podniósł głowę i podparłszy się obu rękami, nie wstając zresztą, patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, oczom własnym nie wierząc. Stojący obok z końmi Selim śmiał się jak szalony.

– Tak, tak! nie ma już Prusaków – powtórzył.

Pan Vaucourt powiódł oczyma po nas, po koniach ułańskich, po ciałach leżących na łące, potem zaś nagle wpadł w taki paroksyzm radości, że sądziliśmy, iż dostał pomieszania zmysłów.

– *Eh bien! vous êtes donc des diables!* – wołał nie mogąc przyjść do siebie.

– To on to wszystko zrobił – rzekłem ukazując na Selima.

– Jak to? ten młody człowiek z twarzą... panienki?

– Nie, nie! to my obaj – odpowiedział Selim.

Pan Vaucourt śmiał się, tańczył, wypytywał nas, to znów tańczył, słowem, postradał zmysły. Potem pobiegł oglądać zabitych, ale gdy się zatrzymał przed trupem najbliższego Prusaka, który z twarzą wykrzywioną przez konwulsje, z krwawą pianą na ustach i zaciśniętymi zębami spoglądał na niego martwym okiem, biedakowi zrobiło się słabo i pobladał tak, że myśleliśmy, iż zemdleje.

Selim namawiał go, by obszukał kieszenie poległych, ale bał się tego uczynić. My zaś wzięliśmy tylko kaski i siadłszy na konie, puściliśmy się w dalszą drogę.

– Wolę jednak tak, niż tą piekielną machiną – rzekł Selim, gdy przejeżdżaliśmy koło balonu, który leżąc na trawie i opadłszy zupełnie, przedstawiał widok nader smutny.

Tymczasem pociemniało, a wkrótce zrobiła się noc zupełna. Dostaliśmy się na jakąś drożynę, o której nie wiedzieliśmy, czynie zawiedzie nas do jakiej wioski, pełnej Prusaków. Trzeba było zachować wszelką ostrożność, bo niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze zupełnie. Byliśmy w okolicach zajętych przez nieprzyjaciela i lada chwila mogliśmy się spotkać z jakimś patrolem. Możliwym było także, że wysłano za nami nową pogoń. Tymczasem pan Vaucourt, puściwszy raz wodze językowi, nie mógł go już utrzymać i wynurzał nam swoją „nieskończoną” i „nieopisaną” wdzięczność tak głośno, że wreszcie Mirza kazał mu być cicho.

– Dlaczego? – pytał.

– Prusacy mogą być niedaleko.

– *Avec vous, je m'en fiche!* – odpowiedział z całym zaufaniem.

Odwaga jego teraz była równie „nieopisaną”, jak wdzięczność.

Tymczasem leśna drożyna stawiała się coraz węższą. Często, spłoszeni jakim szelestem, skręcaliśmy w bok, zatrzymując konie i dech w piersiach. Raz sama z młodym przebiegła nam drogę i spojrzawszy na nas, w krótkich podskokach pobiegła na pobliską polankę, na której poczęła skubać spokojnie trawę. Zdawało się, że w owych czasach zwierzęta widocznie wiedziały, iż ludzie zbyt są zajęci zabijaniem siebie, aby mieli czas zwracać na nie uwagę. Czasem gałęzie drzew uderzały o nasze twarze lub zaczepiały o suknie, czasem koń chrapnął niespokojnie lub jaki pień, stojący na uboczu, w ciemnościach nocy przybierał fantastyczny kształt człowieka z otwartymi ramionami lub rękoma podniesionymi do nieba. Wówczas zatrzymywaliśmy konie, pan Vaucourt zostawał z tyłu, my zaś z Selimem, odwiódłszy kurki, podjeżdżaliśmy zwolna do podejrzanego przedmiotu. Las szumiał, deszcz trochę ustał, ale natomiast zerwał się wichur, po ciemnym niebie przelatywały poszarpane chmury, to przesłaniając światło księżyca, to odkrywając przestrzenie, pokryte bladymi gwiazdkami.

Nerwy naszego towarzysza poczęły znowu głośniej przemawiać. Co do mnie, czułem się zupełnie szczęśliwy. Ta cisza, samotność, dzika ustron leśna, noc, otwarty powiew wiatru, niepewność i niebezpieczeństwo każdej chwili – miały dla mnie niepojęty urok jakby zmartwychpowstania. Mnie tam duszno i ciasno było w murach, tu oddychałem szeroko, całym obszarem płuc, jak Farys w Arabistanie. Tam w murach wplatałem się co dzień w bolesne koło własnych myśli i wspomnień, tu strzemie moje trącało o strzemie brata-Tatara, przede mną był szeroki kraj – drugi brat, karabin w ręku, swoboda, zapomnienie życia, upojenie... śmierć...

Gdyby bezpieczeństwo towarzyszków nie stało temu na przeszkodzie, chciałbym był podnieść twarz ku niebu i krzyżeć pełną pierśią: „Hej, hej, ty puszczo szumiąca!” – a potem słuchać pilnymi uszama, co odpowiada mi bór, na którym wiatr grał jak na organach. Pół leśna, pół dzika puszcza litewska rozbudziła się we mnie i zdawało mi się, że jestem gdzieś w Ponarskiej lub Białowieży, wśród mateczników i bagien, w których o północy wody mruczą wyraźnie, ostre krzyki świtezianek przesywają powietrze, próchno świeci błękitnym światłem, a zwierz na uroczyskach ludzką przemawia mową.

Nie myślałem więc o niebezpieczeństwie i nie dbałem. o nie w tej chwili, ale Mirza czuwał. Jego ściągnięte brwi oznaczały uwagę, oczyma badał każdy krzak, każdy pień drzewa. Droga stawiała się coraz dziksza, była to raczej jedna z takich leśnych ścieżek, jakie u nas nazywają „ciocinami drózkami”.

Wreszcie po półgodzinnej jeździe Selim rzekł:

– Trzeba dać odpocząć koniom.

Skręciliśmy na bok i ujechawszy ze sto kroków w las, zsiadliśmy z koni i rozkielznawszy je, nie puszczając z ręki cugli, pokładliśmy się pod drzewami; milczeliśmy wszyscy trzej, bo byliśmy pomęczeni bardzo; ciszę przerywało tylko chrupanie trawy w zębach końskich.

Siedzieliśmy tak cicho z kwadrans, nagle obaj z Selimem zerwaliśmy się na równe nogi.

– Co to jest? – szepnęliśmy jednocześnie.

Z ciemności i głuszy leśnej doszedł nas jakiś dziwny głos; było to coś pośredniego między płaczem dziecka a beczeniem jagnięcia.

– To cap mekcze! – rzekł Mirza.

– Nie, to lelek – odpowiedziałem.

Jednocześnie konie przestały chrupać trawę, a poczęły strzyc uszyna i chrapać.

Co było dziwne, że głos ten dochodził czasem z prawej strony, czasem z lewej; czasem rozlegał się bliżej, to znów dalej, a zawsze słaby i żalony.

Nie! Nie mógł to być ani cap, ani lelek. Było w tym wszystkim coś niewytłumaczonego i ten maleńki, żalony głosik miał w sobie dlatego coś przerażającego że wydawał się nadnaturalnym. Z wycia wilków lub huku karabinowego mniej byśmy sobie robili z pewnością.

Selim, który przy całej odwadze lwa był trochę przesądny, wpatrzył się w ciemność nocną i szepnął:

– Nie lubię tego, nie lubię niebezpieczeństw, wobec których nie wiem, czego się trzymać.

– *Mon Dieu!* – jęknął pan Vaucourt, któremu włosy zjeżyły się na głowie.

– Ale oto widzę coś białego – szepnął znowu Selim ukazując w ciemny kąt lasu.

Spojrzałem, Mirza mylił się, nie było nic ani białego, ani czarnego.

– Wezmę karabin i pójdę – rzekłem. – Przecież mnie diabeł nie porwie.

Poszedłem. Ale i ja byłem zdania, że najgorsze z niebezpieczeństw jest to, wobec którego nie wiedzieć, czego się trzymać. Doprawdy wobec tego głosu, który rozlegał się koło mnie i nade mną, gotów byłem przypuścić, że to dusze poległych obsiadają drzewa jak szpaki i nawołują się lub skarżą.

I moje nerwy poczęły się teraz rozstrajać. Drgałem za każdą gałązką złamaną pod moją stopą. Raz zdawało mi się, jakby jakiś głos szepnął mi w samo ucho: „Hej, *Polonais!*” Ale były to złudzenia.

Obszedłem kawał lasu naokoło drzewa, pod którym założyliśmy nasz obóz. Głos rozlegał się ciągle naokoło, tak że wreszcie przestał mnie straszyć, a zaczął nudzić.

– Niech cię lichy porwie! – rzekłem sobie w duchu i wróciłem pod drzewo.

Pod drzewem zastałem tylko pana Vaucourt, który, w chwili gdy się zbliżał, był pewny, że to sam Lucyfer przychodzi po jego duszę.

– Gdzie jest Mirza? – spytałem.

– Poszedł na zwia... a... a... dy – odpowiedział kłapiąc zębami Francuz.

Upłynął kwadrans, potem pół godziny. Selim nie wracał.

Teraz i ja zacząłem się bać naprawdę. Mogło przytrafić się największe z nieszczęść i niebezpieczeństw: oto Mirza odszedłszy za daleko prawdopodobnie zbłąkał się w tym piekielnym lesie i nie mógł trafić pod drzewo. Upłynęło trzy kwadranse, Selim nie wracał. Mogłem wprawdzie strzelić lub zawołać i wskazać mu przez to drogę, ale mogłem ją tym wskazać i patrolom pruskim. Nie było jednak innej rady. Spod drzewa nie ruszyłem się bez Selima, choćby cała armia pruska miała mnie pod nim otoczyć. Objawiłem swój zamiar panu Vaucourt.

Pan Vaucourt padł przede mną na kolana, żeby tego nie czynić.

– To zguba wszystkich! – mówił.

Próbowałem sykać, odpowiedziało mi milczenie; nawet ów głos baranka czy diabła ucichł. Zawołałem więc raz i drugi:

– Mirza, hop, hop!

Milczenie. Włosy na głowie powstały mi z trwogi o Selima. W tej chwili chłopak ten droższy mi był niż wszystko na świecie. Niewiele myśląc podniosłem w górę karabin i dałem ognia.

Błysnęło czerwone światło, potem rozległ się huk. Las cały umilkł jakby przerażony, tylko pan Vaucourt zawołał:

– Boże, przyjmij duszę moją!

– Diabeł jej nawet nie zechce – odpowiedziałem zniecierpliwiony.

Cisza jednak nie trwała dłużej nad pięć minut, po czym zdawało mi się, że uchem chwytam lekkie trzeszczenie gałązek, jak gdyby naciskanych stopą ludzką.

Mógł to być Selim, a mógł być i nie Selim, dlatego obaj z Vaucourtem zaczailiśmy się pod drzewem.

Po chwili czarna sylwetka ludzka zarysowała się pomiędzy krzakami. Na nieszczęście, chmury jednocześnie przykryły księżyc; zrobiło się tak ciemno, że zaledwie mogłem ją rozróżnić.

Postać ta, z głową pochyloną naprzód, zbliżała się zwolna i ostrożnie, zatrzymując się co chwila. Zauważyłem, że w ręku trzyma strzelbę.

O pięć kroków czarna postać zatrzymała się. Wytężyłem wzrok, to nie był Selim.

Z powodu ciemności nie mogłem jednak odróżnić, czy to był Prusak, czy nie, lub czy w ogóle żołnierz. Widziałem wprawdzie, że nowy gość nie miał śpiczastego hełmu na głowie, ale i Bawarowie, i Sasi nie mieli także spiczastych hełmów, zresztą i Prusacy nosili czapki.

Ktokolwiek był jednak ten ogromny chłop, który w tej chwili o pięć kroków stał ode mnie, był mi potrzebny i to koniecznie żywy, postanowiłem więc go schwytać.

– Tsss! – odezwał się nowoprzybyły.

– Tsss! – odpowiedziałem zza drzewa. Była to prawdziwa ślepa babka, gra na ten raz trochę niebezpieczna, ale niemniej interesująca.

Nowoprzybyły postąpił jeszcze dwa kroki. W mgnieniu oka rzuciłem się na niego jak tygrys, a w sekundę później siedziałem mu na piersiach i dusząc rękami za gardło krzyknąłem:

– Milcz i nie ruszaj się, bo zginiesz.

Nowy gość jednak, widocznie obdarzony niepospolitą siłą, rzucał się jak szalony. I ja byłem silny i trzymałem go jak w kleszczach, a zaledwie mogłem go dotrzymać. Chrapał i wierzgał nogami tak, że ledwo mnie nie zrzucił.

Nagle jednak opadł, jak gdyby nowa, żelazna siła przykuła go do ziemi. Spojrzałem: był to mój serdeczny chłopak, Selim, który już klęczał mu na nogach, a przechyliwszy się przez moje; plecy, przyłożył mu błyszczący bagnet do twarzy.

– Jeden ruch więcej, a zginiesz! – zawołał.

Ale nieznajomy nie myślał się już ruszać. Selim zlął teraz z niego, wziął karabin, przyłożył się i rzekł do mnie:

– Puść go.

Usłuchałem; nieznajomy leżał bez ruchu.

– A więc zabijecie mnie! – rzekł.

– Wstawaj.

Biedaczysko wstał i począł mówić chwytając zmęczonymi piersiami powietrze:

– Kto wy jesteście? Czego ode mnie chcecie? Ja nic złego nikomu nie robię. Połamaliście mi ręce i nogi. Jeżeliście strażnicy leśni, weźcie moją strzelbę. Zapłacę karę... ale nie łamcie mi kości. Teraz jest wojna. Zwierzyna należy do tego, komu się jeść chce... Niemiec poluje na Francuza... wilk na owce... kot na myszy.. ja na sarny i zające. Teraz takie czasy... wszyscy polują...

– Kto ty jesteś?

– Ja nazywam się Mathieu Benoit! albo stary Mathieu, jeżeli się wam tak podoba.

– A więc, stary Mathieu, uspokój się! Nie jesteśmy strażnicy, nie pójdziesz do więzienia, nie zabierzemy ci strzelby, nie zapłacisz kary, pokażesz nam tylko drogę.

– Tak, ale połamaliście mi stare kości – mruknął złodziej leśny.

Kilka sztuk złota zabręczało w ręku Selima.

– Kup sobie za to nowe, a teraz odpowiadaj na pytania.

– Słucham.

– Prusacy są tutaj?

– Są.

– Francuzi?

– Francuzi także są. Jedni zabijają drugich. Palą przy tym wioski, a Pan Bóg patrzy na to i nie grzmi.

– Otóż, słuchaj. Zaprowadzisz nas do Francuzów taką drogą, na której nie spotkamy Prusaków.

– Wiem o takich wielu.

– Jeżeli spotkamy Prusaków więcej niż trzech, strzelę ci w łeb; żeby zaś nie przyszła ci ochota zemknąć, pójdziesz na smyczy obok mego konia.

– Teraz pies lepszy od człowieka – odmruknął Mathieu.

Siedliśmy na konie i pojechali. Stary Mathieu, który był tym, co po francusku nazywa się „*un braconnier*”, a po polsku „wnicznik” albo – jak mówią także w Białowieży – „kłusownik”, prowadził nas sobie tylko znanymi ścieżkami.

– Tą drogą – mówił, ukazując na drożynę, którąśmy przedtem jechali – zajechalibyście do Pont Vert, gdzie oberżę ma pani Frolie. Mówią, że baba ma pieniądze. Tam także stoją Prusacy, którzy niedawno rozstrzelali młodego Vauharta, ale ja znam las jak swoją kieszeń i poprowadzę was dobrze. Pan Bóg dał teraz takie czasy, że śmierć mieszka na drodze, spokój w lesie, Niemiec w kościele, a cesarz za kratą.

– Ale ja zresztą głupi jestem, ja nic nie wiem – dodał po chwili.

– Komu sprzedajesz swoją zwierzynę? – spytał Selim.

– Czasem Francuzom, czasem Prusakom, a jak mi odbiorą, to i darmo oddaję. Wojna bierze, kochany panie, i za towar płaci... na plecach.

Stary rozgadał się w najlepsze. Była w nim mieszanina głupoty i filozofii, z której można by wyprowadzić ten wniosek, że gdy wielcy się biją, mali cierpią i sądzą, że Pan Bóg zasnął.

Wypytywaliśmy jeszcze naszego przewodnika o ów szczególniejszy głos, który słyszeliśmy w lesie. Pokazało się, że to kłusownicy nawołują się w ten sposób; że zaś Mathieu był w lesie z trzema synami, przeto głos dochodził nas ze wszystkich stron.

– Ale być może – dodał stary – że i diabeł odzywa się w ten sposób.

Potem jeszcze rzekł:

– Gdybyście trafili na syna mego Jakuba – nazywają go także „Krzywa Ręka” – nie poszłoby wam tak łatwo, choć jesteście mocni jak Turcy.

Była może godzina druga po północy, gdy wreszcie las począł rzednieć i na koniec znaleźliśmy się w wąwozie, którego boki pokryte były żywopłotem. Mathieu opowiadał nam, że las, z któregośmy wyszli, nie był wielki, ale drożyna nasza okrążała go niedaleko od brzegów, prawie zupełnie naokoło, robiliśmy więc drogę na próżno.

Zaledwie pierwszy blask robił się na świecie, gdy z daleka doszło uszu naszych pianie kogutów, a wkrótce wśród mgły, oświeconej bladymi promieniami świtu, ujrzeliśmy dachy domów i wieżę kościelną miasteczka, zajętego przez Francuzów. Głośne „*Qui vive?*” żołnierza stojącego na placówce, wstrzymało nasz pochód. Musieliśmy jeszcze czekać, póki nie nadszedł patrol, opatrujący warty, potem patrol ten zabrał nas ze sobą i w taki sposób przybyliśmy na miejsce.

Zdziwiło nas trochę, że pomimo oznajmienia naszego, iż mamy depesze z Paryża od dyktatora, nie rozbudowano natychmiast pana generała, którego kwatery znajdowała się w merostwie. Dano nam jednak izbę, której podłoga była zasłana sianem, i postawiono nad nami straż. Rzuciliśmy się na siano i usnęli głęboko.

Nazajutrz dopiero, o godzinie dziesiątej, zawołano nas do generała, którego nazwiska nie pamiętam, zgubiłem bowiem część notat odnoszących się do owego czasu. Pan generał z zielonymi oczyma i twarzą podobną do głowy ryby, przy tym otyły, pulchny, przedstawiał doskonały typ nie wojownika, ale smakosza i safandudy.

Kilkunastu wyższych oficerów otaczało go w pełnym uszanowania milczeniu. Pan Vaucourt zabrał głos i począł nader wymownie opowiadać wypadki naszej podróży, wypadki zaledwie prawdopodobne, ale których rzeczywistość poświadczyły pruskie kaski ułańskie i konie, na których przyjechaliśmy do miasteczka.

Pan Vaucourt mówił prawdę. Swoją drogą, biedaczysko nie wspomniał o tym, że przyłożyłem mu lufę karabinową do ucha, aby namówić go do otworzenia klapy w balonie. Mówił przy tym wszędzie: „my zabiliśmy”, „my wysiedliśmy” zamiast „oni”.

Podczas całego opowiadania staliśmy z Selimem ramię przy ramieniu, obaj oparci na karabinach. Oficerowie spoglądali na nas w milczeniu, po czym, gdy wreszcie pan Vaucourt skończył opowiadanie, generał podniósł się i począł mówić:

– Panowie! przedstawiam wam tego walecznego syna Francji – tu wskazał palcem na pana Vaucourt. – Gdyby wszyscy Francuzi wstępowali w jego... jakże się nazywa?... kraj nasz

byłby już wolny od nieprzyjaciela. Ten waleczny nie zważał na wszelkie... jakże się nazywa? ale wśród kul i... tego... przybył aż do nas... i oto panowie... i oto panowie!...

Tu generał począł obcierać usta serwetą, oficerowie uśmiechali się, waleczny syn Francji zaczerwienił się jak burak i zmieszany począł spoglądać na nas miłosiernym wzrokiem. Selim przygryzł wargi, ja zaś usiłowałem zapewnić oczyma walecznego syna Francji, że przeciw pochwałam, jakie go spotykały, nie mamy najmniejszego zamiaru protestować.

Tymczasem generał odpiął jeden z krzyżów, które na jego piersiach tworzyły nader liczną konstelację, i mówił dalej:

– Zbliź się, waleczny synu Francji... Spodziewam się, że... jakże się nazywa?... że dyktator potwierdzi ten mój postępek, zarówno jak i krzyż, którym pana ozdabiam.

Jeden z oficerów, wysoki mężczyzna z twarzą surową i nieprzyjemną, nie mógł już wytrzymać i rzekł:

– Przepraszam, generale!... zdaje mi się, że ci dwaj panowie...

Ale generał ręką nakazał mu milczenie, odwrócił się do nas:

– Wy zaś, cudzoziemcy – rzekł – którzy dopiero zaciągnęliście się pod sztandary francuskie, zpatrujcie się na tego bohatera, a może być, że i na waszych piersiach zabłyśnie oznaka podobna.

Obawiałem się, żeby Selim nie zrobił jakiego wyskoku, żeby nie parsknął śmiechem, ale nie: stał spokojny, zimny, choć widać było, że ta cała scena i gniewa go, i śmieszy jednocześnie.

Pocziwy zresztą pan Vaucourt począł głośno oświadczać, że krzyż należy się nam, nie jemu, skutkiem czego inteligencja generała znalazła się wobec niepodobnego do rozwiązania zagadnienia: czy pan Vaucourt jest więcej waleczny czy skromny? Po czym rozeszliśmy się w dwie strony.

Tego dnia jeszcze wieczorem Mirza zaprosił oficerów na obiad, na którym rzucał złotem jak książkę. Nazajutrz zaś puściliśmy się do La Rochemore'a.

Tak odbył się nasz wyjazd z Paryża.

II

Aż do departamentu Haute-Saone jechaliśmy mniej więcej krajem zajęтым przez Francuzów, jakkolwiek działające na południu armie bawarskie utrzymywały związek z

pruską, oblegającą stolicę. Niebezpieczeństwo: groziło nam tylko ze strony maruderów francuskich, których pełno było po drogach i którzy tu i ówdzie pozwalali sobie łupić i rabować. Nie obawialiśmy się ich jednak, tym bardziej że znowu jechaliśmy we trzech bo jakkolwiek „waleczny syn Francji”, pan Vaucourt, odjechał inną drogą do Bordeaux, ale już drugiego dnia podróży przyłączył się do nas niejaki Jean Marx, z pochodzenia Alzatzczyk, młody osiemnastoletni chłopak, który nie bał się niczego na świecie i po jednodniowej znajomości byłby nawet w piekło za nami poszedł.

Kraj wszędzie nosił na sobie ślady wojny. Gdziekolwiek trafialiśmy na zburzone wioski, których mieszkańcy kryli się za naszym zbliżeniem, pola leżały nie obrobione, miejscami spotykaliśmy gromadki wychudzonych i zgłodniałych biedaków, błakające się na kształt widm po zeszłorocznych polach kartoflanych i wyszukujące przegniłych kartofli. Wojna wisiała w powietrzu nad całym krajem; wszędzie prawie towarzyszył nam zapach spalenizny. Nocami krańce widnokregu często czerwieniły się łuną pożarną, po księżycu z odległych pustkowi dochodziły nas wycia psów. Kilkakrotnie trafialiśmy na pola bitew, na których nie było już wprawdzie trupów końskich i ludzkich, ale które poznawaliśmy po mnóstwie białych papierków z wystrzelonych ładunków. Miejscami papierki te pokrywały jakby śniegiem ziemię, miejscami były rzadsze. Raz przyjechaliśmy do wioski zupełnie pustej, w której prócz chudych kur, uciekających z krzykiem za naszym zbliżeniem, była tylko jedna staruszka, mająca pomieszanie zmysłów. Staruszka ta siedziała na przyzbie pół rozwalonej chaty i rozmawiała ze sobą głośno. Zaledwie mogliśmy z jej bezładnych odpowiedzi wywnioskować, że mieszkańcy parę dni temu strzelali do ułanów, teraz zaś uciekli, sądzili bowiem, że wioska będzie spalona. Pewnej nocy zapukaliśmy do chaty, w której okienku błyszczało światło. Przez długi czas nie chciano nam otworzyć, a wreszcie otworzył nam człowiek z twarzą tak podobną do głowy wilka, iż myśleliśmy, że to sam wilk przyjmuje nas w gościnę. Marx utrzymywał, że to jest obdzieracz trupów i nie radził nocować, bo – jak mówił – w nocy można dostać nożem pod zebro, ale że byliśmy pomęczeni, więc postanowiliśmy pozostać. Wkrótce jednak nadeszło jeszcze czterech podobnych rzezimieszków i wszyscy poczęli nam się przypatrywać spode łba, spoglądając przy tym z pożądlivością na nasze podróżne przybory. Marx został przy koniach na dworze, Mirza zaś, niewiele myśląc, wziął za gardło naszego wilka, przycisnął go do ściany i przyłożywszy mu pistolet do paszczy, rzekł:

– Pomorek na ciebie, piekielne bydle! Wypędź tych urwisów za drzwi, bo i im, i tobie we łby postrzelam, jeżeli zaś w nocy coś zginie, będziesz wisiał.

Rzezimieszkowie mruknęli ponuro, jeden z nich oświadczył nawet, że jest z merostwa i hardo pytał nas o paszporty, w odpowiedzi na co Selim pochwyił szpicrutę i począł okładać

ich niemiłosiernie, szczególnie nie szczędząc pleców urzędnika z merostwa. Noc przeszła nam spokojnie, nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę.

Ale droga ta coraz była trudniejsza; wjechaliśmy teraz w kraj prawie wyłącznie zajęty przez Niemców, między którymi kręciły się rzadkie oddziały wolnych strzelców, szczwane i pędzone wszędzie jak dzikie zwierzęta. Wioski i miasta jednak mniej tu były zniszczone niż na szlakach, na których spotykały się i walczyły dwie armie. Ludność nie narażała się Niemcom i znosiła ich przewagę; ale też prawie niepodobieństwem było otrzymać jakąś pomoc i wskazówki. Postanowiliśmy koniecznie dostać się do La Rochenoire'a, jakkolwiek zadanie to przechodziło prawie siły ludzkie, ponieważ z jednej strony nikt nie wiedział, gdzie się La Rochenoire podziewa, a co dzień koczował gdzie indziej; z drugiej strony, trzeba się było do niego dostawać prawie przez paszczę pruską, ze wszystkich oddziałów bowiem żaden nie był pilniej strzeżony i staranniej otaczany.

Mogę też powiedzieć, że wówczas już we trzech z Marxem i Mirzą rozpoczęliśmy prawdziwą wojnę na własną rękę. Posuwaliśmy się naprzód tylko nocami, kierowaliśmy się zaś według wieści o zebranych konwojach, rozbitych podjazdach, pochwyconych patrolach i tym podobnie. Ale też teraz byliśmy dobrani, jakbyśmy się w korcu maku szukali.

Ach! cóż za wyborny był chłopiec ten Marx ze swoją alzacką flegmą, komiczną, zepsutą francuszczyzną i obojętnością na wszystko, co się koło niego działo. Chwilami zdawało mi się nawet, że odwaga jego płynie z nadmiaru przytępionej wrażliwości i z niezrozumienia niebezpieczeństwa. Ale był tego inny powód. Oto Marx nienawidził Niemców ze wszystkich sił duszy, a w temperamentach flegmatycznych nienawiści podobne szczególnie bywają zaciekle. Posiadał jednak roztropność wyższą i więcej zimnej krwi niż my obaj.

III

Małą tylko część drogi przebyliśmy kolejami, w ogóle bowiem drogi żelazne w okolicach zajętych przez Francuzów były zrujnowane, a wobec powszechnego pogromu i nieładu mało troszczono się o ich naprawę. Utrudniało to ruchy wojsk, ale wówczas wszystko składało się na klęskę Francji.

Departament Wyższej Saony, w którym krążył La Rochenoire, zajęty był przez Niemców, dlatego, dostawszy się w jego granicę, znowu odbywaliśmy podróż lasami i prawie wyłącznie

wśród nocy. Dni spędzaliśmy w chmielnikach lub winnicach śpiąc, czyniąc zwiady i obmyślając najbliższe do La Rochenoire'a drogi.

Na parę dni przed przybyciem do niego dotarliśmy do wioski zwanej La Mare; nie było to po drodze, ale Selim twierdził, że musi się widzieć z zamieszkującym tam od niejakiego czasu panem La Grange, którego znał jeszcze z Paryża.

Zbliżaliśmy się bardzo ostrożnie, było bowiem prawdopodobnym, że w wiosce znajdują się patrole bawarskie lub pruskie. Robiło się już ciemno, słońce zaszło i tylko w powietrzu świeciły rozproszone resztki światła zorzy. Okna w domach wiejskich poczynają także tu i owdzie się rozświecać. Na pozór wszystko było spokojnie. Czołgaliśmy się chmielnikiem jak węże, psy jednakże zwietrzyły nas i poczęły ujadać. Naraz ujrzeliśmy ciemne sylwetki kilku postaci ludzkich, stojących koło płotu i wiodących półgłośną rozmowę.

Przysiedliśmy natychmiast w chmielniku. Tymczasem głosy umilkły, a jedna z czarnych postaci, przechyliwszy się przez płot, pilnie patrzyła w gąszcz. Potem z ciemności doszła nas znowu francuska rozmowa.

- Czego tam patrzycie, kumie Gronsbert?
- Psy czekają; a ot tam się coś porusza.
- E, nie! Księżyc wschodzi, to psy zwyczajnie niespokojne.

Inny głos dodał:

- A może to dusze umarłych? Mówią, że psy czują dusze ludzkie.
- W imię Ojca i Syna, i Ducha świętego.

Po czym doleciały nas westchnienia.

Mirza szepnął do mnie:

- Patrole tu muszą być.

Na drodze znowu poczęła się rozmowa, ale jeszcze cichsza i jakby tajemnicza.

- Wilki także się włóczą. Wojna mnoży wilki razem ze wszystkim złem.
- Hej, taka dziś była zorza czerwona! Musieli się znowu gdzieś bić.
- Mer mówił, że znowu przyjdą do nas Prusaki.
- Niech nas święty Hubert od nich strzeże.

Selim wówczas podniósł się z kryjówki i zawołał:

- Hop, hop, ludzie! którą drogą do pana La Grange?
- O, o! – zawołały wystraszone głosy. – A wyście co za jedni?
- Do dziś żołnierze, jutro, co Bóg zdarzy! Pokażcie drogę i nie pytajcie.

Jeden z wieśniaków rzekł:

- Ja was zaprowadzę.

Poszliśmy szeroką wioskową aleją. Ciemno w niej było tak, żeśmy nie mogli widzieć jeden drugiego. Po kilkuset krokach zwróciliśmy nagle na prawo. Przed oczyma naszymi ukazał się w dali niewielki kościół, otoczony białym, niskim murem, a bliżej ogromna masa drzew, wśród której połyskiwały oświecone okna. Wieśniak rzekł:

– Tam kościół Św. Huberta, a tu mieszka La Grange.

Znaleźliśmy się wśród parku zarosłego tak gęsto, że gałęzie przesłaniały aleje i ścieżki. Park ten wydawał się całkiem zapuszczony. Piękny dom w kształcie szaletu szwajcarskiego stał w środku, ale tak był pokryty dzikim winem czy inną jakąś pnącą się rośliną, że oświecone jego okna spoglądały jak oczy spod maski.

Drzwi od przedsionka były otwarte, weszliśmy więc nie widząc ani pytając nikogo. W przedsionku nie było światła, ale księżyc stał w szybach i świecił tak jasno, żeśmy mogli odróżnić wszystko: stół w środku, pod ścianami szafy, a na nich bukiety z zeschniętych kłosów.

Marx zastukał karabinem w podłogę. Wówczas usłyszeliśmy kroki; drzwi przyległego pokoju otworzyły się, jakaś postać kobieca – zapewne służącej – pokazała się w nich i jeszcze prędzej znikła, jak gdyby wystraszona. Marx stukał coraz mocniej.

Po chwili ukazała się też sama postać z lampą w ręku, a za nią staruszek z białymi jak mleko włosami. Zbliżywszy się zasłonił ręką oczy i spytał powolnym, łagodnym, ale bardzo podniesionym głosem:

– Czegóż robicie tyle hałasu, moi przyjaciele?

Po czym osłonił ręką ucho i spytał:

– A?

Jeżeli i robiliśmy hałas, biedny staruszek nie słyszał go z pewnością, widocznie był przygłuchy.

– Przypominam się panu! – zawołał pochyliwszy się do jego ucha Mirza.

Starzec spojrział na niego, zebrał się z pamięcią, pomyślał, na koniec rzekł:

– A to wy, hrabio?

Potem rzekł do siebie, ale zupełnie głośno:

– Co on robi w tych stronach?

– Zaciągam się do wojska – odparł Mirza.

– A witam, witam uprzejmie. Co?

Selim przedstawił mnie i Marxa, po czym starzec zaprosił nas dalej, ale musieliśmy się przebrać, bo wyglądaliśmy jak dziady. Służąca wskazała nam osobny pokój.

Podczas przebierania się Mirza rzekł:

– Zestarzał się jak grzyb i dzieciinniał.

– Co ty możesz mieć do niego za interes? On sam o sobie już nic nie wie!

– Pomówimy o wszystkim dziś w nocy.

Po czym zesliśmy na dół.

Starzec już czekał na nas koło zastawionego stołu, na którym położono świeże nakrycia, a po chwili jeszcze weszła młoda, piękna panna, wysoka, z przepyszną talią i czarnymi włosami. La Grange przedstawił ją jako swoją wnuczkę.

Ukloniłem się dość obojętnie, w milczeniu; nagle spostrzegłem coś, co zdziwiło mnie do wysokiego stopnia.

Oto panna La Grange, ujrawszy Mirzę, zbladła jak płótno, a on niemniej był wzruszony.

„Widzę, że miał powody tu przybyć” – pomyślałem.

Siedliśmy do wieczerzy i wieczerzaliśmy w milczeniu. W tych czasach wojny ludzie nie ronili słów na próżno, a każdy mówił przyciszonym głosem, jakby w obawie i oczekiwaniu.

Zresztą było coś między Selimem a panną La Grange. Ona unikała jego wzroku, ale spoglądała na niego jakoś dziwnie, gdy na nią nie patrzył. On na próżno starał się zawiązać rozmowę. Milczenie owo stawało się wreszcie przykrym, aż w końcu wieczerzy dopiero starzec spojrział nagle w sufit i odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć:

– Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, tak, to czwartek.

Po wieczerzy Mirza wziął go pod rękę i poszedł z nim rozmawiać do drugiego pokoju. Zdaje mi się, że prosił go o przewodnika, ale zresztą rozmowy tej, lubo bardzo głośnej, nie mogłem posłyszeć; siadłem bowiem koło panny La Grange i starałem się ją bawić.

W każdym innym razie poszłoby mi to z łatwością. Panna była bardzo ładna, sympatyczna, miała czarne, rozumne oczy i śliczne ręce, o palcach zwięzonych na końcu, którymi jakby przez kokieterię poprawiała od czasu do czasu włosy. Tym razem jednak rozmowa nie szła. Ja byłem zmęczony, a panna La Grange roztargniona. Spytałem ją wreszcie, jak dawno zna Mirzę. Wówczas ożywiła się, ale zamiast odpowiedzieć, ona z kolei zaczęła wypytywać mnie, dlaczego przybyliśmy w te strony. Odrzekłem, że mi wszystko jedno, gdzie się bić, ale Mirza uparł się, żeby to było w tym departamencie. Zaciekawienie i gorączkowa jej niespokojność rosły. Może starałbym się ją wybadać, ale upadałem ze znużenia. Marx usnął w fotelu i chrapał, myślałem więc o śnie niż o wszystkich pannach.

Tymczasem Mirza ze starcem ukazali się z drugiego pokoju. Staruszek teraz siadł przy mnie i chwyciwszy mnie za kolano, począł pleść trzy po trzy, robiąc przy tym o wiele naprzód wszystkie gesty, które miały służyć jako ilustracja jego słów. Przez ten czas Mirza zbliżył się do panny La Grange. Usłyszałem, że zamieniali ze sobą szybkie słowa, przy czym

Mirza zdawał się błagać o coś natarczywie. Usłyszałem tylko jeden frazes: „Wszystko wyjaśnię!”, ale w tej chwili znowu staruszek zrobił parę gestów naprzód, potem rzekł:

– Będziecie spali w drugim domu... Tylko otworzyć tylne drzwi i zaraz chmielnik... aż do lasu.

Potem otoczył dłonią ucho i spytał:

– A?

Na koniec poszliśmy spać. Drugi ten dom leżał w głębi parku, o kilkadziesiąt kroków od szaletu. Widocznie nikt w nim nie mieszkał, gdyżśmy bowiem weszli do środka, uderzył mnie zapach pustki i chmielu, który się suszył na górze. Ale jedna izba była ogarnięta, na podłodze zaś jej leżały trzy materace, zasłane poduszkami i bielizną. Tak wygodnego posłania nie widziałem już dawno, dlatego rzuciłem się na nie natychmiast, nie pomyślawszy o rozebraniu się. Selim i Marx położyli się także nie rozebrani, wszyscy zaś mieliśmy karabiny pod ręką od wypadku.

Mirza rzekł:

– Słuchaj, nadeszła chwila, w której muszę ci wyznać i wyjaśnić wszystko...

Tyle też tylko słyszałem z tych wyjaśnień, bo natychmiast usnąłem jak suseł, i mogę powiedzieć, że spałem ze wszystkich sił, nie więcej jednak jak parę godzin.

Koło drugiej rozbudziłem się nagle.

Z początku nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem, po chwili jednak strząsnąłem z głowy zdrętviałość i spojrzałem w okna, naprzeciw których leżały nasze posłania.

Słaby różowy odblask, jakby zorzy, świecił przez szyby.

Ale nie była to zorza, była to luna dalekiego pożaru.

„Pali się – pomyślałem, nie myśląc zresztą wstawać z ogrzanego posłania. – Muszą się bić w tamtej stronie.”

Tak też i było.

Wkrótce uszu moich doszedł daleki, daleki odgłos strzałów rotowych.

Strzały te, odległe, przytłumione, a szybkie i prawidłowe jak muzyczna gama, to ustawały chwilami, to odzywały się z nową energią.

W przestankach słyszałem chrapanie Marxa.

Po jakimś czasie zdawało mi się, że strzały się zbliżają, przy tym jeden i drugi wystrzał armatni wstrząsnął szybami, które zadźwięczały żałośnie. Nie chciało mi się jeszcze wstawać, ale na wszelki wypadek postanowiłem rozbudzić Mirzę.

– Selim! – zawołałem.

Selim nie odpowiadał.

– Selim! – powtórzyłem głośniejsz.

W odpowiedzi zachrapał tylko Marx.

Tymczasem luna stała się jaśniejszą. Przy jej czerwonym blasku spojrzałem na postanie Selima: było puste.

Sądziłem, że wyszedł posłuchać, jak idzie bitwa, i wzięwszy karabin, wyszedłem także do ogrodu.

Księżyc świecił jasno. Promienie jego zmieszane z odblaskami łuny, zalewały ogród jakimś tajemniczym półbiałym, pół-czerwonym światłem. Liście na drzewach szemrały cicho, mieniąc się srebrem i miedzią; długie czarne cienie kładły się na ziemię. Ale w ogrodzie było spokojnie. Okna szaletu pozostały ciemne. Znać tu już ludzie przywykli do odgłosów bitew i łun pożarów.

Wszystko to było jakieś tajemnicze i uroczyste. Z jednej strony melancholia i spokój uspionego ogrodu, a tam blaski krwawe, w dali bitwa, pożar i wrzawa, podobna do szumu morza. Byłem tak przyzwyczajony do ciągłego czajenia się od czasu wyjazdu z Paryża, że i teraz mimo woli szedłem, jakbym się zbliżał pod pruską placówkę.

Nagle ujrzałem Mirzę i stanąłem jak wryty. Na ławce, w cieniu krzewów, siedziała panna La Grange, a przed nią klęczał Mirza i pokrywał pocałunkami jej ręce.

Świeciły im księżyc i luna.

– Jedyna moja, jedyna moja! – szeptał namiętnie Mirza.

– Czy mi przebaczasz? – dodał po chwili.

Szmer jego słów i pocałunków zagłuszały coraz bliższe strzały rotowe.

Usłyszałem jednak jeszcze oderwany frazes.

– Umyślnie tu przybyłem...

W ogrodzie stawało się coraz czerwieniej. Światło księżyca bladło i mdlało, ale kochankowie zdawali się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Pomyślałem jednak, że bitwa może zawadzić o La Mare i że bezpieczeństwo wymaga, abyśmy się mieli na baczności. Cofnąłem się więc za gęstwinę i począłem gwizdać z cicha umówiony między nami sygnał.

Był to sygnał znany nam od dawna. Nuta jego znaczy nawoływanie: „Dzieci, zbierajcie się!” etc.

Jakoż natychmiast zaszeleściły liście, a po chwili ukazał się Mirza ze świecącymi oczyma i rumieńcami na twarzy, drżący ze wzruszenia.

– Co tam? – spytał.

– Biją się.

– To daleko. Nie nadużywaj sygnału, bo mnie wprowadzasz w błąd. Sygnał znaczy: niebezpieczeństwo tuż.

– Czym ci w czym przeszkodził?

Mirza zatrzymał się nagle.

– Ty widziałeś wszystko?

– Tak.

Umilkł, a po chwili porwał mnie za ramiona.

– To dobrze! – rzekł. – Chodźmy do kwatery, mam z tobą pomówić o wielu rzeczach. Nie zaśniesz przecie teraz?

– Nie zasnę.

Wróciliśmy. Ja położyłem się znowu na materacu, Mirza zaś siadł na swoim i zaczął mówić:

– Może pomyślisz sobie, że postąpiłem jak egoista, ale sądziłem, że ci wszystko jedno, gdzie się masz bić. Mnie się zawsze przy tym wszystko wiodło, tobie nie, dlatego myślałem także, że wiążąc los twój z moim, wiąże cię z moim szczęściem. Ale to się może zmienić. Ja przedsięwziąłem sprawy dość niebezpieczne. Teraz ci je opowiem. Jeżeli zechcesz, to się cofniesz. Jeszcze czas. Powiedz mi jednak naprzód, czy bezwarunkowo byłbyś poszedł na wojnę?

– Tak.

– To dobrze, zatem nie ja cię pociągnąłem?

– Nie ty.

– Teraz słuchaj. W Paryżu, jeszcze przed wojną, poznałem Lidię La Grange i zakochałem się w niej. Ona mi była wzajemną. Ale potem zerwało się wszystko i wiesz, kto był tego powodem?

– Nie wiem.

– La Rochoire.

– La Rochoire?

– Tak. Szczegółów nie mam czasu ci opowiadać. La Rochoire zakochał się w niej także, ale był powszechnie nielubiony, goły przy swoim tytule i zawsze miał złą opinię, wziąłem więc nad nim górę z łatwością. Wówczas wyzwiał mnie. Strzelaliśmy się na pistolety. Trzy razy brałem na cel jego czerep i trzy razy darowałem mu życie. On nie umie strzelać. Mogłem go zabić i głupstwo zrobiłem, że nie zabiłem, bo on potem nie przestał się mścić. Ja, widzisz, kochałem się zawsze na wszystkie strony i nieraz, zawiązawszy nowe stosunki, nie umiałem zerwać dawnych. Tak było wtedy. Na rok przed poznaniem Lidii poznałem w Jockey-klubie

młodego porucznika marynarki, nazwiskiem Marillac, który od razu dziwną powzięł ku mnie sympatię. Był to dzielny, młody chłopak, odważny, honorowy, słowem – prawdziwy rycerz, jakich mało. Po kilku tygodniach wprowadził mnie do siebie i ofiarował swą przyjaźń, a ja – niech mi Bóg przebaczy! – począłem bałamucić jego młodą i śliczną żonę. U nas uważa się to za zbrodnię, ale w Paryżu to rzecz zwyczajna. Byłem nie lepszy niż moje otoczenie. Swoją drogą, ciążyło mi to strasznie. Męża często nie bywało w domu, ale gdy przyjechał, musiałem udawać dla niego przyjaźń, co było nad moje siły, bo brzydziłem się sam sobą. Poznawszy Lidię, chciałem zerwać z przeszłością, nie dlatego, żeby uczucie dla Lidii było poważne, bo stało się takim dopiero później, ale dlatego, że nie umiem być obłudnikiem. Sądziłem, że zerwanie łatwo pójdzie. Omyliłem się. Pani Marillac wiedziała o nowej mojej miłości dla Lidii i wiedzona zazdrością i zemstą porozumiała się z La Rochenoirem. On nie umie nic przebaczać i nie cofał się nigdy przed niczym, dlatego chwycił się pierwszej sposobności, żeby zerwać moje stosunki z Lidią i zarazem zemścić się nade mną. Opowiedział, że kocham tamtą. Nie chciała wierzyć, trzeba jej było dowodów. Wówczas odebrałem list od Marillacowej, wzywający mnie na ostatnią niby schadzki. Odpisałem: „Nie pójdę.” Wtedy odebrałem drugi list, w którym były tylko te słowa: „Wiesz, że mąż mój przyjechał, i boisz się go!” Tego było dosyć. Poszedłem. Była to zasadzka. La Rochenoire miał sprowadzić Lidię i pokazać jej naocznie moje wiarołomstwo. Ale nie wystarczało mu to jeszcze. Nikczemnik, przez zemstę nade mną, nie wahał się poświęcić i swojej współpracownicy, dał więc znać o schadzce nie tylko Lidii, ale i Marillacowi. Spodziewał się, że Marillac mnie wyzwie i zabije, był to bowiem najslawniejszy fechtmistrz we Francji, z którym nikt nie chciał przyjmować pojedynków. Katastrofa nastąpiła. Musiałeś o niej słyszeć, bo cały Paryż nie mówił o czym innym. Postanowiłem dać się zabić Marillacowi, ale gdy zobaczył krew, rozbudziła się we mnie moja nieszczęsna natura i wbiłem mu szpadę w piersi po samą rękojeść. Jeszcze dziś słyszę, jak ostrze jej zgrzytnęło o jego kość pacierzową.

Mirza wzdygnął się. Twarz jego była blada, oczy zgorączkowane, w rysach malowała się boleść, ale zarazem i głucha, złowroga zaciętość.

Zakrył twarz rękoma i umilkł. Przez chwilę słyszałem wystrzały zbliżającej się bitwy.

– Mów dalej, bo nie będzie czasu – rzekłem.

– Co potem nastąpiło – mówił – łatwo zrozumieć. Lidia pokazała mi drzwi, wtedy zacząłem kochać ją naprawdę. Byłbym się strasznie pomścił na La Rochenoirze, ale nie wiedziałem, jaką odegrał rolę. Zresztą, natychmiast po katastrofie odebrał rozkaz udania się do Marsylii, bo on także był wówczas porucznikiem marynarki. Przed wyjazdem oświadczył się Lidii, która w chwili rozpacz i zwątpienia przyjęła go. Ja zacząłem prowadzić życie

szalone, traciłem mnóstwo pieniędzy. Byłem wodzem Jockey-klubu. Oni mieli mnie za bohatera, ja sam siebie za nikczemnika. Cierpiałem strasznie. Kochałem przy tym coraz więcej Lidię i to czyniło mnie jeszcze nieszczęśliwszym.

– Jak się dowiedziałeś o La Rochenoirze?

– Prowadząc życie szalone, spotkałem tamtą kobietę. Spadła bardzo nisko, ale ja starałem się ją podnieść. Nie było zresztą już czasu na to, bo chorowała na suchoty. Jakoż umarła wkrótce, ale przed śmiercią wyznała mi wszystko. Przysiągłem wtedy, że pomszczę się na La Rochenoirze. I niech mi tak Bóg dopomoże, jak byłbym to natychmiast uczynił, gdyby nie to, że zaraz potem wybuchła wojna.

– Zdawało mi się – mówił dalej – że La Rochenoire przepadł w jej odmęcie i modliłem się do chrześcijańskiego Boga i do mego głupiego Mahometa, aby go ocalił i zachował dla mnie. Wkrótce też jego nazwisko wypłynęło z odmętu, otoczone tą złowrogą sławą, która uczyniła go jednym z najgłośniejszych partyzantów. Wówczas pomyślałem: „Nadszedł czas!”

– Co myślisz uczynić?

Mirza drżącymi rękoma oderwał podszewkę swego żołnierskiego kepi i wyjąwszy spod niej jakiś papier, podał mi go mówiąc:

– Czytaj.

Przy blasku coraz rosnącej łuny począłem czytać i zdawało mi się, że śpię, a to wszystko, co widzę, to tylko sen dziwny, który zniknie nad ranem.

Karta, którą trzymałem w ręku, była to ni mniej, ni więcej, jak tylko nominacja Selima Mirzy na dowódcę oddziału La Rochenoire’a oraz rozkaz oddania pod sąd wojenny tegoż La Rochenoire’a i postąpienia z nim podług wyroku.

W milczeniu oddałem papier Mirzie.

On tymczasem zbliżył się do mnie. Na twarzy jego znowu pojawił się ów ostry wyraz, nadający rysom jakiś odcień czysto wschodniego okrucieństwa.

– Przysięgam na tę noc, na ten pożar, na tych, co tam konają teraz, że każę go rozstrzelać bez litości.

Potem otworzył nagle okno. Widać, potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem.

Ale ja nie rozumiałem, co znaczy ta nominacja, więc rzekłem:

– Wy tłumacz mi to.

Chwilę jeszcze chodził w milczeniu.

– Dziwi cię nominacja i rozkaz oddania pod sąd dowódcy, który bez wytchnienia bije Niemców? – rzekł wreszcie. – Ale ma to swoje powody. Temu człowiekowi zdaje się, że teraz, gdy stoi na czele oddziału, nie ma już nikogo nad nim. Jest arystokratą. Żołnierze jego

w boju krzyczą, jakby za Ludwika XIV „*Vive le roi!*” On służy nie Rzeczypospolitej, ale Henrykowi V. Przy tym pan margrabia postępuje z ludźmi trochę zbyt bez ceremonii. W wiosce Branche Verte kazał rozstrzelać mera, w Agneaux kazał powiesić dwóch wieśniaków, wioskę Maric kazał spalić dlatego, że mu odmówiła żywności. Gdy Chanzy przysłał kuriera z rozkazem, kazał kuriera oćwiczyć i odpowiedział Chanzemu grubiaństwem. Za to jedno już śmierć. On chce być panem na czele swego oddziału. Prowadzi wojnę na własną rękę, a to nie uchodzi. Oh! dyktator miał aż nadto dosyć powodów. Zaocznie złożono go z dowództwa; gdy jednak zawakowało, nikt się go nie chciał podjąć, dopóki ja nie dowiedziałem się o tym.

Dowiedziawszy się przedstawiłem swoje kwalifikacje, a ponieważ dzisiejszy dyktator znał je, zarówno jak i mnie, jeszcze z Jockey-klubu, zatem zostałem mianowany z łatwością. Ostrzeżono mnie tylko, że La Rochenoire, nie mając wiele do stracenia, a mając po sobie żołnierzy, każe z pewnością rozstrzelać tego, kto przyjdzie z nominacją.

– Jak to? czy rząd nie ma siły go zrzucić?

– Rząd siłę ma; mógłby go otoczyć wojskiem i zgnieść. Ale dyktatorowi chodzi o to, co by powiedział kraj. Imię La Rochenoire’a zyskało popularność, stoczył on już ze czterdzieści potyczek, prawie zawsze zwycięskich. Kazano mi więc działać powolnie, co mi się zresztą nie podoba. Póty szczerdzić będę La Rochenoire’a, póki ma za sobą żołnierzy, ale on już i żołnierzom ciąży niezmiernie. On i dla nich również okrutny. Nominacji nie mam pokazywać natychmiast, dopiero po zjednaniu sobie żołnierzy. Gdyby jednak La Rochenoire wydał rozkaz, aby mnie rozstrzelać natychmiast, wówczas palnę mu w łeb i pokażę nominację. Ale wątpię, czy do tego przyjdzie. La Rochenoire wie, że byłem w dobrych stosunkach z dzisiejszym dyktatorem. Rozstrzelać mnie znaczyłoby spalić za sobą mosty zupełnie, a tego on sobie nie może życzyć. Zresztą, zobaczymy. Prawdopodobnie nie przyjdzie do ostateczności. Rząd sobie jej nie życzy. La Rochenoire nie wie o niczym. Tak rzeczy stoją. Teraz ty powiedz swoje zdanie.

– Moje zdanie jest, że lepiej byś zrobił, gdybyś mi od razu wszystko wyznał.

– Żłem zrobił, ale bałem się, że mnie będziesz odmawiał od przedsięwzięcia.

– I dlatego wciągnąłeś mnie w nie?

– Masz się czas cofnąć. Mówiłeś, że wszystko jedno, gdzie się bić. Niedaleko krąży oddział Corbeau. Możesz się tam zaciągnąć. Wyrobiłem na wszelki wypadek dla Ciebie nominację.

– Słuchaj! – rzekłem wówczas żywo. – Chcesz się mścić, to się mścij, ale mi się droga twoja nie podoba. Rozumiałbym, gdybyś przyjechał i po prostu palnął w łeb La Rochenoireowi, ale ty chcesz i musisz zyskać pierwszej jego zaufanie, a potem zdradzić je.

– Nie ja tę drogę wybrałem. Takie są instrukcje, których muszę słuchać, a podjąłem się je wykonać dlatego, że zabić go po prostu, to mało dla mnie. Ja go muszę wprzód strasznie upokorzyć. Mniejsza o to, czy to pięknie, czy nie. Ja jestem Tatar. Ja chcę zemsty.

I istotnie, podobny był w tej chwili do Tatara.

– Pomyśleć, co on mi zrobił! pomyśleć, że Lidia jest jego narzeczoną!...

I począł wyłamywać ręce, aż stawy palców trzeszczały głośno.

Po chwili rzekł:

– A zatem idziesz ze mną czy nie?

– Idę. Jeżeli rzecz zaraz się rozstrzygnie, gotów jestem ci pomagać, ale jeśli powoli, nie chcę się wdawać w grę.

– Bo i nie potrzebujesz. Zatem dobrze. Dziękuję ci.

Uścisnął moją rękę.

– W każdym razie – mówił – nie pójdziemy razem do obozu, aby nie ściągnąć podejrzeń. Ja muszę tam być pierwaj. Następnie przyjedziecie ty i Marx. Będziemy udawali, że się nie znamy. To was na wszelki wypadek zasłoni przed jego zemstą.

Nie chciałem się zgodzić na to, ale Mirza mówił, że nie godzi się nam wciągać w przedsięwzięcie Bogu ducha winnego Marxa. Uległem.

– Kiedyż pójdiesz? – pytałem.

– Jak tylko rozednieje. Wy zostańcie tutaj przez parę dni.

Potem uchwycił znów moją rękę.

– Bądź dobry dla Lidii. Ja ją kocham, bardzo kocham. Współczuj mi chociaż w tym. Ona zasługuje na twoją przyjaźń... więcej niż ja. Wycierpiała dużo, bo nigdy nie przestawała mnie kochać. Teraz wyjaśniło się wszystko.

I objąwszy mnie za szyję, położył głowę na moich piersiach. Potem podniósł się nagle i rzekł:

– Idę.

– Dokąd?

– Powiedzieć jej ostatnie: „Bądź zdrowa!” Biedactwo czeka jeszcze na mnie.

Wziął karabin i wyszedł. Zostałem sam ze śpiącym Marxem. Odgłosy bitwy nie cichły, przeciwnie, stawały się coraz wyraźniejsze. Łuna tylko bladła, bo rozpoczynał się brzask ranny. Szyby zbieleły. Czarne kontury gałązek za oknem stawały się coraz widoczniejsze. Oparłem się na dłoni i począłem rozmyślać. Nie rozmyślałem o tym, co się stało. W naturze mojej leżała pewna obojętność, która kazała mi przyjmować fakta spełnione jako konieczność, jako turecki „kiszmet”, z marmurową obojętnością. Była to pewna bierność,

która jednak często służyła mi w ówczesnej epoce jako zasada-pocieszycielka. Życie nie wydawało mi się warte jednego *sou*. Byłem w epoce sceptycyzmu życiowego; za długo żyłem tylko wewnętrznie, dlatego wyczerpałem się do dna. Dlatego też szukałem wtedy takich wrażeń, od których biła woń prochu, jaskrawych, niebezpiecznych, bo odrywały mnie one od spoglądania w próżnię i od obwijania watka nici naokoło nicości. Rozmyślałem więc tylko o Mirzie, o tym bogactwie wiary w życie i samego siebie, o życiu, jakie kipiało w nim i wylewało się na zewnątrz. Bił się, kochał, mścił i do głębi duszy był przekonany, że to wszystko warte zachodu. Na duszę jego nie padał ani cień zwątpienia. Nie było w nim jednej kropli krwi Hamleta. Takich ludzi zwą ludźmi czynu. Biło od niego jakies ciepło życiowe, przy którym i ja odgrzewałem zdrętwiałą duszę.

Oto i w tej chwili zegnał się tam ze śliczną panną i w pocałunkach zapominał o świecie całym. Ja na jego miejscu czułbym, niestety, że całuję usta, które prędzej lub później muszą być umarłymi.

Dniało coraz bardziej. Noc pierzchła. W La Mare poczęły pisać koguty, a jeden podawał głos drugiemu. Podszedłem do otwartego okna, aby spojrzeć na widnokrąg, i nagle ujrzałem mdły krążek światła latarki, zbliżający się z cieniów, do uszu moich zaś doszło pośpieszne klekotanie drewnianych trzewików, jakich we Francji używają wieśniacy.

Po chwili mały chłopak z kudłatą czupryną, bez czapki, dobiegł aż do naszej kwatery, podniósł latarkę i ujrzawszy mnie stojącego w oknie, zawołał zdyszonym głosem:

- Nie śpicie?
- Co tam?
- Prusacy wchodzą do wioski.
- Zgaś latarkę i zmykaj – rzekłem cicho.

Rozbudziłem Marxa, potem wyszedłem przed sień i zagwizdałem znowu:

Dzieci zbierajcie się etc.

Mirza pojawił się natychmiast.

- Hop! hop! – zawołał.
- Niemcy w La Mare!

Weszliśmy prosto w chmielnik, który ciągnął się aż do lasu. Nie potrzebowaliśmy zresztą odchodzić zbyt daleko. Niemcy bowiem nie mogli nic o nas wiedzieć, usiedliśmy więc spokojnie wśród liści i poczęliśmy się wsłuchiwać w odgłosy z La Mare. Bitwa już ustała; luna zgasła. Z początku w La Mare cicho było i spokojnie, ale potem do uszu naszych doszła daleka, potem coraz bliższa wrzawa. Wkrótce mogliśmy odróżnić tętent i rżenie koni, dźwięki mosiężnych trąb, warczenie bębnow. Zagrzmiały wreszcie i pieśni bojowe. Jazda zaśpiewała

Wacht am Rhein!, a głosy niosły się daleko wśród ciszy po rosie. Biło od nich jakąś niewypowiedzianą siłą i dzielnością; czułeś, że to są odgłosy tryumfu, że pułki Cymbrów, znojne, pokryte jeszcze kurzem bojowym i krwią, upojone radością, święcą tą pieśnią nowe zwycięstwo.

A tymczasem pierwsze różowe promienie jutrzeńki musiały padać jak aureola na ich wysokie sztandary. Słuchaliśmy w milczeniu. Flegmatyczny Marx pobladł ze złości i szeptał przez zaciśnięte zęby swoim łamanym językiem: „*C'est bien! nous ferrons!*” Mirza oddał się także całkowicie chwili. Zapomniał wówczas zapewne ten szczęśliwiec o wszystkim i żył za dwóch jednym wrażeniem, w każdym razie więcej wartym niż Hamletowa refleksja.

Był to jednak widocznie tylko przemarsz wojsk, stopniowo wrzawa, tętent i pieśń oddalały się coraz bardziej, cichły, cichły, mieszały się ze szmerem liści chmielowych, przechodziły jak gomon, a potem już tylko silniejszy powiew wiatru zawiewał jeszcze pieśnią.

Wreszcie ucichło wszystko.

– Przeszli – szepnął Selim.

– Przeszli.

– Trzeba i mnie iść. Wy wracajcie do La Mare.

Żegnaliśmy się długo i serdecznie. Następnie Mirza otarł łzę, zarzucił na ramię karabin, przekręcił na bok kepi i odszedł zwolna, nucąc:

Tyś szyla chorągiewki!

Potem odwrócił się jeszcze i zasylał nam znaki pożegnania. W milczeniu wróciliśmy z Marxem do La Mare.

IV

We trzy dni później, wieczorem, zbliżaliśmy się do obozu. Serce biło mi jak młotem, nie wiedziałem bowiem, czy jeszcze zastanę Mirzę przy życiu. Przez drogę nauczyłem Marxa, jak ma się zachować, i powiedziałem mu, co było można. Dzielny ten chłopak, który przywiązał się do Selima jak brat, pierwszy oświadczył, że jeśli Selim już nie żyje, to on strzeli w łeb La Rochenirowi jak psu.

Do obozu prowadził nas chłop, który był szpiegiem La Rochenoire'a, a jednocześnie udawał, że jest szpiegiem pruskim, za co od Prusaków brał pieniądze. Zwał się Hugon.

Dla pozbycia się dręczącej mnie niespokojności zacząłem z nim rozmawiać.

– Musicie mieć piękne zyski? – spytałem.

Hugon zwrócił do mnie swoją zwierzęcą twarz i uśmiechnął się, co czyniło go podobnym do psa, wyszczerzającego zęby.

– Zapłata licha – rzekł – ale Pan Bóg ześle czasem coś więcej. Spojrzysz – leży trupek, poszukasz – talary przy nim są, zegarek jest, pierścioneczek na palcu jest. Inaczej z głodu przyszłoby umierać.

– A! więc obdzieracie trupy?

– To i cóż? zmówię za każdego raz „wieczny odpoczynek”, a jak warto, to i dwa. Inni i tego nie robią. Pan Bóg miłosierny. Ja Francuzom służę darmo. Corbeau, niech się ziemia pod nim rozstąpi, kazał mnie powiesić, co prawda służyłem wtedy tylko Prusakom, ale La Rochenoire kazał mnie odciąć. „Odtąd, powiada, będziesz brał od Niemców pieniądze, ale, powiada, będziesz mnie służyć.” Toż i służę mu wiernie jak pies. Ja tu znam każdy krzak. Prowadzę Niemców tam, gdzie on mi każe, a że tam czasem koło nieboszczyków się pokręcę, on się za to nie gniewa. On mówi mi zawsze „bydlę”, ale jemu wolno jako panu.

Poszliśmy dalej w milczeniu. Po jakimś czasie Hugon rzekł:

– Zaraz i obóz!

Obóz leżał w gęstwinie leśnej, wśród powywracanych przez burzę drzew. Przewodnik nasz okrzyknął się głosem sowy z placówką, która nas zatrzymała aż do czasu przybycia patrolu, patrol wprowadził nas do środka.

Gdy weszliśmy do obozu, był zachód słońca. Pod powywracanymi korzeniami drzew i pod krzakami nie było ani jednego namiotu, ale wszędzie leżały kupy słomy, którą nawozili wieśniacy. Na uboczu stało kilkanaście wozów, zaprzęzonych w zbiedzone szkapy. Między wozami siedzieli chłopci podwodnicy, posilając się na noc serem i kawałkami chleba. Żołnierze po największej części leżeli na słomie, niektórzy pozagrzebywali się w nią tak, że im było widać tylko głowy. Wyglądali wszyscy jak najgorzej; twarze wychudzone i brudne, zasze krwią oczy, podarte mundury, wszystko to czyniło ich podobniejszymi do rozbójników niż do żołnierzy. Zresztą doznaliśmy niezbyt uprzejmego przyjęcia. Gdy patrol prowadził nas przez majdan, tu i ówdzie z jam i spod korzeni wychylały się zbójckie głowy, a ochryple głosy pytały:

– Hej! a kogo to tam prowadzą?

– To franty z bulwarów.

– Sam tu, młody skowronku! – wołał na Marxa jakiś drab – ojczyzna potrzebuje cię upieczonego.

– Głupiś – odparł inny, spoglądając na gołowąsą twarz mego towarzysza – to nie skowronek, to przebrana dziewczyna. Czy nie widzisz, jak palce podnosi idąc?

– Ażeby diabeł powykręcał twoje palce. Pomór na ciebie! Jeśli to dziewczyna, to tym lepiej. Bodajś połknął kulę.

– To tak, miła gąsko? Kazał ci się lis kłaniać.

Marx pokazał im pięść, ja zaś szukałem oczyma naokoło Mirzy, ale nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że trzeba nam będzie wziąć się do La Rochenoire'a. Tymczasem wprowadzono nas między wielkie drzewa, spod których dochodziły uszu naszych jakieś bolesne wrzaski. Gdym zbliżywszy się spojrział tam, od razu ciężki kamień spadł mi z piersi; pierwszą bowiem osobą, na którą padł mój wzrok, był Mirza. Ubrany w oficcerski mundur adiutanta, rozmawiał poufale z jakimś małym człowieczkiem o kręconych blond włosach, księżej minie i wyżółklej twarzy, w którym domyślałem się La Rochenoire'a. Nieco opodal stał mąż atletycznej postawy, z twarzą pooraną przez ospę, dziwnie szpetną. Ten na głowie zamiast wojskowego kepi miał brudną białą chustkę, poplamioną krwią. Był to, jak się później dowiedziałem, porucznik Simon, prawa ręka we wszystkim La Rochenoire'a.

Patrol zatrzymał się nieco opodal w milczeniu. Mirza spojrział na nas przelotnym, obojętnym wzrokiem, po czym odwrócił się, jakby nas nie znał nigdy, i począł palcem otrząsać popiół z cygara. La Rochenoire i Simon także nie zwrócili na nas zrazu uwagi, zajęci bowiem byli: jeden rozmową z Mirzą, drugi przypatrywaniem się chłoscie wieśniaków, oskarżonych, jak powiedział nam oficer patrolowy, o to, że zbici przez Prusaków, wskazali im przed tygodniem leże obozu. Biedacy ci drżeli na całym ciele. Simon kazał im przypatrywać się nawzajem. Dwóch z tych nieszczęśliwych siadało na trzecim i chłostało go do krwi, potem wybity podnosił się, wypijał łyk wina i zabierał się zaraz do następnego mówiąc:

– Wasza kolej, kumie!

Simon pilnował operacji, machając w takt ręką i powtarzając:

– Mocniej!

La Rochenoire z Mirzą od czasu do czasu szeptali coś z sobą z cicha. Zdawali się być w jak najlepszych stosunkach.

Na koniec operacja się skończyła. Oficer patrolowy zameldował o naszym przybyciu La Rochenoirovi. Wówczas wzrok jego padł chwilowo na nas. Jak żyję, nie widziałem takich oczu. Siwa ich barwa prawie nie odbijała od światła. Były to oczy jakby zgasłe.

– Simon, wziąć tych ludzi! – wymówił suchym, prawdziwie oficcerskim głosem.

Simon wydobył obrzydliwą, zatłuszczoną książkę, zapisał nasze nazwiska, potem oddał nas młodemu oficerowi, imieniem Touvehir, rzekłszy:

– Sekcja czwarta, na miejsce Blaina i Renarda.

Touvenir wskazał nam kupę słomy, mówiąc:

– Spocznijcie!

Tak odbyła się nasza instalacja do obozu.

W kilka dni później obudziłem się w nocy trochę chory.

Słoma, na której leżałem, była wilgotna; zaraz po zachodzie słońca niebo pokryło się chmurami i począł mżyć deszcz, a raczej gęsta, przejmująca mgła, która, osiadając na liściach drzew, spadała w postaci kropel na nasze posłanie. Szelest tych kropel dziwnie rozstrajał moje nerwy. Byłem zniechęcony i przybity. Zdawało mi się, że wszystko idzie jak najgorzej. Od czasu przybycia do obozu widywałem Mirzę codziennie, ale nie zamieniłem z nim ani słowa. Nie umiałem sobie wytłumaczyć jego stosunku do La Rochoire'a. Skąd taka przyjaźń? Selim był jego adiutantem, skądże ta nagła a niespodziewana nominacja? Podejrzywałem w tym wszystkim jakiś podstęp; podejrzewałem, że chytrzejszy Francuz igra z Mirzą jak kot z myszą. Dręczyło mnie to. A tymczasem krople deszczu spadały i spadały, zsuwając się z liścia na liść coraz częściej. Ogarnęła mnie gorączka i jakieś niewypowiedziane rozbujanie wyobraźni. Na myśl, że zostaniemy tu, w tym obozie, wśród ciągłych zdrad i podstępów, porywała mnie rozpacz. Z jakimże utęsknieniem myślałem wówczas o armii regularnej, o tych pułkach konnych, idących w biały dzień jak wichur do ataku. A my? My musieliśmy błądzić jak wilki w ciemnościach, czaić się w chaszczach, kąsać zniecka.

Obrzydło mi to życie, zanim się go dotknąłem.

Nie mogłem usnąć, ale po niejakiem czasie czułem się jakby odurzony. Przez parę godzin wsłuchiwałem się bezmyślnie w szelest kropel i w głos jakiegoś ptaka czy diabła, który na pobliskim drzewie odzywał się monotonnie: „To-to! to-to!” Co tam za ptak mógł tak gwarzyć wśród nocy i deszczu! Chwilami przychodziło mi na myśl, że to może jaka istota nadnaturalna, która wróży mi śmierć.

Potem zacząłem doznawać halucynacji. Mroczne przestrzenie leśne zbiegały się ze wszystkich stron i tworzyły cztery ściany pokoju. Był to niby pokój w rodzinnym moim domu. Na stole paliła się lampa, koło stołu siedział ojciec, matka i młodsze rodzeństwo. To znów te osoby niknęły, a na ich miejscu widziałem dwie nieznane mi panny, przeglądające jakąś starą kronikę z rycinami. Zachodziłem im z pleców i przypatrywałem się rycinie. Przedstawiała w średniowiecznych, niezgrabnych sztychach bitwę pod Azincourt. Pod spodem czytałem wyraźnie gotycki napis: *Bitwa pod Azincourt*. Nagle wzdrygnąłem się bez

powodu, widzenie znikło i znowu koło mnie był las, mroczne, czarne głębie, do uszu zaś dochodził szelest kropel i sapiące oddechy towarzyszków.

Wówczas powtarzałem sobie, by się bronić halucynacjom: „Jesteś w lesie, służysz w wojsku, dowódcą jest La Rochenoire, Mirza adiutantem, koło ciebie śpi Marx.”

Potem uczułem, że się boję, sam nie wiem czego. Bałem się tak, że chciało mi się krzyczeć o ratunek.

Nagle przeraźliwy odgłos świstawki rozbudził wszystkich. Odetchnąłem głęboko. Była to przynajmniej rzeczywistość. Żołnierze zerwali się na równe nogi i w kwadrans potem staliśmy pod bronią w szeregach. Porucznicy z obnażonymi szpadami przy swoich kompaniach z cicha, ochrypłymi głosami podawali sobie rozkazy. Wkrótce ukazał się La Rochenoire, a za jego zbliżeniem ów szmer, który we wszystkich, a zwłaszcza francuskich szeregach brzmi nawet na musztrach – cichł wszędzie, jakby żołnierze ujrzeli zbliżającą się śmierć samą. La Rochenoire szedł w towarzystwie Mirzy. Obaj przesuwali się zwolna, przeglądając szeregi. Żołnierze wyciągali się jak struny, prezentując broń przed nimi. Tu i ówdzie La Rochenoire rzucił jakie słówko, które podchwytywali w lot porucznicy. Po chwili rozległa się głośnie komenda, szeregi złamały się na dwoje... Połowa oddziału pod wodzą La Rochenoire'a i Mirzy poszła w prawo; druga połowa, a w niej ja i Marx, udała się pod rozkazami Simona wprost przed siebie. Była jeszcze noc zupełna. Czarne masy drzew, wywrócone pnie z korzeniami, sterczącymi do góry, rysowały się w fantastyczne, godne apokalipsy. kształty. Las był po prostu straszny. Szliśmy w zupełnym milczeniu i jak najciszej. Dla człowieka myślącego służba wojenna ma jeszcze tą obrzydliwą stronę, że nigdy nie wiesz, co się z tobą robi. Jakaś ręka posuwa tobą jak pionkiem, i oto wszystko. Tak było i ze mną. Wiedziałem, że La Rochenoire wzięwszy udział w tej bitwie, której odgłosy słyszałem w La Mare, był pobity, sądziłem więc, że idziemy powetować klęskę, ale dokąd idziemy i z jakimi siłami przyjdzie nam się mierzyć, nie miałem najmniejszego pojęcia. Las się wkrótce skończył. Na horyzoncie nocnym zarysowało się wzgórze, na nim wiatrak, a dalej do trzydziestu chat, ku którym poczęliśmy się skradać. W oknie wiatraka świeciło się, pod wiatrakiem zaś rysowała się czarna, nieruchoma postać pruskiego sztyldwacha w spiczastym hełmie, opartego o karabin. Mimo, że byliśmy ukryci w zaroślach i szliśmy jak najciszej, sztyldwach posłyszał szmer. Głośnie „*Wer da?*” rozległo się w ciszy, a natychmiast huknął strzał, rozdarłszy czerwonym światłem powietrze. Wówczas wydaliśmy okrzyk i rzuciliśmy się w największym pędzie na chałupy, z których wraz poczęły się sypać strzały. Zawrzała bitwa. Ja, Marx i kilkunastu innych żołnierzy, pod osobistą wodzą Simona, dotarliśmy do drzwi jednej chaty i poczęliśmy odbijać je kolbami, a tymczasem z dachu i okien strzelano do

nas o parę kroków. Drzwi jednak chwiały się, a wreszcie pękły i wpadliśmy do wnętrza. Niemcy dali nam ognia w same oczy, ale nie uczynili szkody. Wówczas to poszło na kolby, na bagnety, wreszcie na pazury, zęby i pięści. Do innych chat dostali się nasi żołnierze prawie jednocześnie, tak że strzały wszędzie umilkły, ustąpiwszy miejsca walce ręcznej. W naszej chacie wkrótce zwykła bojowa zawziętość zmieniła się we wściekłość. Słysząc było tylko trzask łamiących się karabinów, zgrzyt bagnetów, chrapanie i zziębiony oddech walczących, którzy tarzali się po ziemi, wodzili się za włosy i gryźli zębami. Jakiś wysoki chłop uchwycił Marxa za gardło i upadł z nim razem na podłogę, ale Marx, silny jak buhaj, w jednej sekundzie był już na wierzchu, ukląkł mu na piersiach i począł tłuc strasznie jego głową o ceglana podłogę. Inny jednak Prusak natychmiast siadł mu na kark. Chciałem wówczas pośpieszyć Marxowi na ratunek, ale w tej chwili otrzymałem uderzenie kolbą w piersi i padłem jak długi na ziemię tuż obok komina, na którym paliło się ognisko.

Jak długo leżałem, nie wiem. Gdym przyszedł do siebie, nie mogłem się z początku poruszyć. W chacie było cicho. Ognisko dogasało. Z wielkim wysileniem odwróciłem się twarzą do ziemi i uniosłem się trochę na rękę. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegłem przy błękitnym płomieniu gasnących węgli, był trup Simona z otwartymi ustami i wyszczerzonymi zębami.

Zemdlałem na nowo.

Drugie jednak moje przebudzenie było słodsze. Leżałem na tapczanie, nie na ziemi. Wzrok mój padł naprzód na sympatyczną twarz Mirzy, schyloną nade mną troskliwie.

– To ty? – spytałem.

– To ja – odparł wesoło. – Narobiłeś mi strachu, ale ci nic nie jest.

Istotnie, czułem się zdrow zupełnie.

Uderzenie, które otrzymałem w piersi, przerwało mi na razie oddech, ale nie uczyniło innej szkody. Oddycham teraz swobodnie i bez bólu.

Nie chciało mi się jednak wstawać z tapczana, powiodłem tylko naokoło oczyma. Była to też sama chata, w której biliśmy się wczoraj czy onegdaj. Ślady walki wszędzie były widoczne: okna powybijane, piec na wpół rozwalony, na ścianach piętna krwi, na podłodze gruzy odpadłego tynku, ale ani jednego trupa. Przez dziury w oknach świeciło słońce i wpadał wiatr, wywiewając dym z komina, na którym paliło się znowu. Zapach spalenizny napełniał powietrze.

– Jak długo spałem? – spytałem Mirzy.

– Dobę, jak kamień.

– A ty nie byłeś ranny?

– Trochę podrapany.

To mówiąc zawiąnął rękaw od koszuli i wyciągnął swoją białą, marmurową rękę, na której widniała długa, czerwona rysa i błękitne ślady ukąszenia zębami.

– Ci Niemcy – rzekł – nie dają się przecież zabijać jak owce.

– Wszakże pobiliśmy ich?

– Trochę. Mało który wyszedł.

– Wyście nadeszli nam na pomoc?

– Tak.

– Gdzie Marx? – spytałem po chwili milczenia.

– Na patrolu. Marx jest już kapralem.

– Simon, zdaje mi się, poległ?

– Już pochowany.

– Kto na jego miejscu?

– Ja.

Wówczas siadłem na tapczanie.

– Wy tłumacz mi, co to wszystko znaczy.

Mirza począł się śmiać.

– Oficerowie trochę się krzywią – rzekł – ale mój przyjaciel, La Rochenoire, ani chciał słyszeć, żeby kto inny zastąpił Simona.

– Nie rozumiem nic.

– Jednak to proste. Mówią o zawieszeniu broni. Pewno to nieprawda, ale mówią. Otóż, jeśli zawieszenie przyjdzie do skutku, La Rochenoire, zadarłszy z rządem, znajdzie się w smutnym położeniu.

– Dlaczego więc ciebie proteguje?

– Dlatego, abym ja w danej chwili protegował go nawzajem. Jako bogaty cudzoziemiec, miałem w Paryżu wszystkie drzwi otwarte i znałem wielu ludzi, stojących dziś na czele. Co więcej, lubili mnie wszyscy. Byłem *persona grata*, więc słowo moje może dziś coś znaczyć. Moja obecność i wysokie stanowisko w obozie godzi niejako La Rochenoire'a z tymi ludźmi, uprawnia go. Ach, gdyby nie to, już by prawdopodobnie jeden z nas nie żył. Gdym przybył do obozu, wpatrywał się we mnie swymi siwymi oczyma, jakby wilk wpatrywał się w kozę, która by go przysłała prosić o nocleg w jego jamie. Ale ja rzekłem, że przychodzę po prostu bić się, a że on najlepiej się bije, więc do niego; wietrzył coś i śmiał się ze mnie jak z głupca. Już zwrócił się do Simona, by mu wydać na moją skórę rozkazy, ale widocznie pomyślał w tej chwili, że rozstrzelać mnie, to znaczy osobiście zdrzeć z dyktatorem i innymi rządowymi

figurami. Przyszło mu zapewne na myśl, że w pierwszej bitwie pozbedzie się mnie gładziej. A ja, widząc jego uśmiech, rzekłem: „Śmiesz może pana to, że przychodzę wówczas, kiedy zaczynają mówić o zawieszeniu broni?” To zawieszenie broni było pierwszą kozerą, jaką położyłem na stół. Sposepniał i począł wypytywać mnie, co wiem o tym. Odrzekłem, że gdybym był widział dyktatora, mógłbym coś pewniejszego powiedzieć, bo dyktator zawsze zaszczycał mnie zaufaniem i przyjaźnią.

To była druga kozera. La Rochenoire, lubo nie boi się niczego, wie, że z Jednookim nie ma żartów. Co by mu przyszło robić podczas zawieszenia? Jednooki porachowałby się z nim wówczas z pewnością. A przy tym La Rochenoire ma inne wyrachowanie: on, człowiek ambitny, wierzy w restaurację Henryka V i widzi swoją świetną rolę pod Henrykiem. Ma nadzieję porachować się wówczas ze wszystkimi, a przy tym z gołego margrabiego, któremu w Paryżu na cygara nawet nie starczyło, stać się potęgą. O, tak! w czasie restauracji ten człowiek miałby ogromną przyszłość, gdyby nie to, że w tej przyszłości ja tkwię.

– Grasz grę niebezpieczną.

– Rozumiem to, ale jestem spokojny. Słuchaj dalej. La Rochenoire wie jednak, że przed Henrykiem musi przejść okres panowania Jednookiego i wie, że nim słońce zaświeci, rosa może oczy wyjść, a to tym bardziej, że znali się także z Gambettą z klubu i nie lubili się nigdy. Potrzeba mu więc ubezpieczyć się na ten czas i sądzi, że bezpieczeństwo znalazł we mnie.

Mirza począł się śmiać.

– Gram grę niebezpieczną, ale ją wygram, bo znam wszystkie jego karty, co do jednej, a moje dla niego zakryte.

– A wiesz, jak się taka gra nazywa?

Zamiast odpowiedzieć Mirza wpadł w pasję.

– Intryga – zawołał – zdrada! to była jego gra! Śmierć Marillaca, upadek i śmierć jego żony, łzy Lidii – oto owoce tej gry. A ja się teraz będę wahał i drogę do zemsty wybierał? Co robić? dokąd iść? jak działać inaczej? jeżeli wiesz, to powiedz, naucz! Czy strzelić mu w łeb tak, żeby nie wiedział nawet za co, dlaczego i z czyjej ręki ginie? Toż pierwszy lepszy żołnierz pruski może mnie w tym wyręczyć. A potem co? Sława przylgnie do imienia, że już jej i nie odczepisz. Dziękuję za taką zemstę. Zresztą nie wdajesz się w nic, więc i nie moralizuj. Ty na moim miejscu oddałbyś mu może Lidię i pobłogosławił jeszcze, a potem przeglądał się w lustrze, czy ci do twarzy z poświęceniem. Ale jam z innego metalu. Te środki są dla mnie dobre, które wiodą do celu. Zresztą mam instrukcje i muszę je wykonać. Jam żołnierz.

– Rób, jak ci się podoba, ale się strzeż. Bytność twoja tak blisko La Mare obudzi w nim podejrzenia, chyba że ślepy.

Selim sapał jeszcze przez długą chwilę, ale wreszcie się pomiarkował i rzekł:

– Nie! wszystko się składa, żeby temu psu zawiązać oczy. Po zerwaniu z Lidią pozawiazywałem nowe stosunki, zacząłem szaleć. Znasz moją przeklętą naturę. Kochałem się, a raczej udawałem, że się kocham z dziesięć razy. Potrzebowałem wrażeń. Otóż La Rochenoire, który o tym wie dobrze, ani przypuszcza, żebym miał jeszcze pamiętać o Lidii.

Potem dodał prędko i jakby mimowolnie:

– Ja sam się sobie dziwię...

Roześmiałem się.

– Ale nie krzywdź mnie ani Lidii podejrzeniami – zawołał znów gwałtownie. – Ja kocham ją jak uczciwy człowiek.

– Myślisz się z nią żenić?

– Co? Tak, oczywiście!

– A potem wróćcie zapewne do kraju. Stary twój ojciec tam co dzień, siedząc z wilczycą przy kominku, wygląda twego powrotu.

Nie odpowiedział na to Mirza nic, ale na twarz jego padł pewien odcień rzewności i jakby utęsknienia za domem i za życiem spokojnym w rodzinnym gnieździe. Znałem ten ród Mirzów jak swój własny. Oni wszyscy burzyli się za młodu, ale wykipiawszy, wracali do gniazda. Taki był dziad, taki ojciec, taki i on zapewne. Pomyślałem, że dotrzyma słowa Lidii, że pojmie ją za żonę, a potem wróci.

Dalszą rozmowę przerwało nam wejście znanego mi już oficera Touvenira.

– Rozkaz od dowódcy! – rzekł.

Mirza rzucił okiem na podany papier i rzekł:

– Dobrze.

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Rochenoire'a.

V

W nocy nastąpiło połączenie się oddziałów; nazajutrz zaś w południe biliśmy się znowu, a raczej napadliśmy na konwój, prowadzący rannych i wytepiliśmy go do szczytu. Wówczas to

zaczęło się to życie nadludzkich prawie trudów i wysień, niepodobnych do wiary marszów, głodu, bezsennych nocy, ustawicznych pościgów, zasadzek i wzajemnego wytepiania się bez przestanku. Cierpliwość Prusaków wyczerpana była do dna. Nie mogli przecież, pobiwszy wielkie armie, pozwolić, aby jeden oddział, złożony z pięciuset ludzi, wyprawiał krwawe rzezie tuż pod ich obozami. Dowódcy ruchomych kolumn pruskich położyli sobie za punkt honoru wytepić tych przeklętych *franc tireurów*, których nie uważali zresztą nawet za żołnierzy. Nigdy nie było większą prawdą niż wówczas to, co mawiali nasi żołnierze: „Mieszkamy za kołnierzem u Prusaków.” Żelazne koło zamykało się co dzień koło nas i co dzień na próżno. Ludzie nasi dziczeły w ciągłych walkach coraz bardziej i mimo strasznej karności dopuszczali się nieraz okrutnych nadużyć nie tylko nad jeńcami, ale nawet nad francuskimi wieśniakami.

Dowódcom ruchomych kolumn pruskich zdawało się nieraz, że to oni nas ścigają, a tymczasem my, uchodząc niby i wymykając się, nie przestawaliśmy ani na chwilę na nich czatować. Lada nieostrożność z ich strony przynosiła im nową klęskę. Nigdy też świetny talent wojskowy La Rochenoire’a nie błyszczał tak potężnie jak w owych trudnych czasach. Zuchwalstwo jego przechodziło wszelkie granice, ale też i szczęście sprzyjało mu stale. Czasem, rzekłbyś, pozwalał się dobrowolnie otaczać, a potem uderzał nagle jak obuchem. Raz zdarzyło się, że oddział, liczący blisko ośmiuset ludzi, szedł naprzód co sił w mniemaniu, że idzie w nasze ślady, a to my tymczasem szliśmy po jego tropie i napadłszy nań wreszcie na błotach wśród nocy, wybiliśmy mu trzecią część ludzi. Innym razem La Rochenoire umiał tak urządzić, że dwa oddziały pruskie przez kilka godzin strzelały w ciemnościach do siebie, sądząc, że strzelają do nas. Zimna krew jego dorównywała talentowi. Nieraz w czasie bitwy, wśród nocy, przy blasku wystrzałów, widywałem tego małego człowieka z cygarem w ustach, bez żadnej broni, stojącego wśród kul i spoglądającego jakby flegmatycznie swymi siwymi oczyma na przebieg walki.

Nie szczędził ludzi, był bez miłosierdzia dla żołnierzy, bywał często do wysokiego stopnia okrutny tak dla nich, jak i dla wieśniaków, ale też nie szczędził i siebie. Przypatrując mu się ciągle, wyrobiłem sobie pojęcie o jego charakterze. Człowiek ten najgwałtowniejszych, wrodzonych namiętności wychował się u jezuitów, odebrał już podobno nawet pierwsze święcenia. Wychowanie to nadało tak całej jego postaci, jak wreszcie i namiętnościom, pewne spokojne, układne i zastygłe formy, przez które jednak namiętności objawiały się tym straszniej. Żyjąc w Paryżu, stracił naprzód wiarę, a następnie nauczył się pogardzać ludźmi. Był biedny, więc do pogardy tej przyłączyła się wkrótce i nienawiść. To uczyniło go arystokratą nie tyle w zasadzie, ile w obyczajach i obejściu się z innymi. Wysoki tytuł

margrabiego, który przy biedzie był raczej pośmiewiskiem, popchnął go jeszcze dalej na drogę arystokracji. Wszystkimi siłami pragnął Henryka V, bo wiedział, że pod jego rządami tacy ludzie jak on będą wszystkim i będą mogli deptać po drugich, co, jak dla niego, byłoby jedną z największych rozkoszy. Mimo jednak swych legitymistycznych skłonności był sceptykiem nie tylko w rzeczach religijnych, ale i w życiu. Francji nie tylko nie kochał, ale czuł dla niej pogardę. Wiódł wojnę dla wojny. W przegniłej atmosferze paryskiej stracił poczucie zła i dobra. Dla niego było to wszystko jedno. Przy gwałtownych, wrodzonych namiętnościach czyniło to z niego jedno z najmniejbezpiecznych w świecie indywiduów, tym bardziej że z natury był człowiekiem czynu, nie refleksji.

Z takim to człowiekiem zwarł się na śmierć i życie Mirza. Byłem prawie pewnym z początku, że w tej walce padnie, ale przekonywałem się coraz dotykałniej, że i Mirza był to ptak również niebezpieczny. Na pozór jednak panowała aż dotąd między nimi najlepsza zgoda. Bili się z Prusakami dotychczas z powodzeniem i trzeba wyznać, że do tego powodzenia przyczyniał się także niemało Mirza, który pod każdym względem przewyższał Simona.

Na koniec jednak, po miesiącu owej gry w ślepą babkę po lasach z Niemcami, położenie nasze stało się rozpaczliwym. Ruchome kolumny otaczały nas ze wszystkich stron, wymykać się z oddziałem, liczącym pięciuset ludzi, było dłużej nie podobna, również jak i znaleźć dla niego dość żywności, wskutek tego na radzie wojennej postanowiono się rozdzielić. Jedną połowę miał prowadzić Mirza, drugą La Rochenoire. Obaj spodziewali się wymknąć w ten sposób z departamentu Wyższej Saony, a przy tym i wyżywić się łatwiej. Postanowili jednak trzymać się nie dalej od siebie nad dzień drogi, aby w razie wypadku mógł jeden drugiemu podać rękę.

Od tej pory Mirza począł działać prawie na własny rachunek. Wyznaję, że ciekawy byłem, jak sobie będzie radził, bo położenie było trudne. Ale ufałem mu, jako też przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Pierwszego zaraz dnia po rozłączeniu stoczył świetną potyczkę z ułanami, w której zresztą mało co życiem nie przyplącił; potem wykręcał się z taką zręcznością, że zdawało mi się czasem, iż przewyższa La Rochenoire'a. Czasem myślałem nawet, że to jest jaka wschodząca, niepoślednia gwiazda militarna, a wiem, że i on sam był tego pewien. Żołnierze pokochali go wkrótce i szli na oślep za nim w ogień. Mirza jednak był dla nich prawie tak surowym, jak La Rochenoire, ale daleko więcej dbałym. Kiedy jednak żołnierz przeszkrobał coś, a Selim patrząc na niego poblądł, żołnierz wiedział, że z nim źle. Nazywali go szeregowcy „panną”, ze względu na jego niepospolitą urodę. Otóż raz słyszałem, jak na biwaku mówił jeden żołnierz do drugiego:

– Gdy panna zblednie, śmierć w oczy zajrzy.

– To i cóż! – odpowiedział drugi. – Panna umie być i diabłem, i matką, a La Roche jest tylko diabłem.

W tym życiu żołnierskim, trudnym, męczącym, niepewnym jutra, nie brakło jednak czasem i stron komicznych. Raz pamiętam, gdy maszerowaliśmy lasem, zsunął się nagle z drzewa jakiś człowiek, zupełnie jakby spadł z nieba. Stój! coś za jeden? Odpowiada: Wolak. Pochodzi z Galicji, służył w wojsku tureckim, włoskim, w legii zagranicznej francuskiej. Był w Meksyku i w Algierze. Czego chce? Służby. Zaciągnęliśmy go do szeregu. Nie wyszło pół dnia czasu, Wolak już wodził za nos wszystkich żołnierzy. Przegadał najbardziej wygadanych, podbił oko najsilniejszemu, poprzyczepiał innym przezwiska, od niektórych pożyczył pieniędzy, które mu się nie mogły na nic przydać, innych ograł w karty – wszystkich zaś traktował jak nauczyciel dzieci. Co wieczór śpiewał nadzwyczaj głupią piosenkę o kluczniku, która jednak przyprawiała żołnierzy prawie o utratę rozumu ze śmiechu. Piosenka kończyła się słowami: „A ty, panie klucznik, daj klucz od...” Wymawiając „panie klucznik”, Wolak wskazywał palcem na jednego z żołnierzy. Być mianowanym w ten sposób klucznikiem uważało się za największy zaszczyt. Przychodziło nawet o to do swarów i bójek.

– Mnie to nigdy nie zrobi klucznikiem! – wołał jeden żołnierz, ciskając ze złością na ziemię kepi.

– Ciebie klucznikiem: ciebie, sowo! ciebie, coś o trzy lata za wcześniej przyszedł na świat? – odpowiedział Wolak. – A wiesz ty, gdzie rosną rybki? co znaczy młyn wodny, co wietrzny? Ten pan fiolkami żyje, a ty zegarek masz, co? samca czy samicę? Widzisz go!

I nim odurzony żołnierz przyszedł do siebie, inni wybuchali śmiechem, który czasem przerywały pruskie strzały.

W ten sposób upłynęło nam ze dwa tygodnie. Tymczasem zdarzyło się stoczyć bitwę, wobec której dotychczasowa sława La Rochenoire’a zbladła zupełnie. Pewnego wieczora nadciągnęło do nas około trzystu ludzi z oddziału Emila Corbeau, a z nimi około pięćdziesiąt koni. Oficer, który ich przyprowadził, oświadczył, że oddział ten był wczorajszego dnia na głowę pobity przez ruchomą kolumnę, która prawdopodobnie ściga i tę resztę pozostałą z liczby ośmiuset ludzi. Żołnierze ci byli istotnie w oplakany stan. Mimo to Mirza, wzmocniony nimi, postanowił przyjąć bitwę z kolumną ruchomą, a raczej pójść na jej spotkanie i uderzyć na nią na gościńcu z zasadzki. Kolumna liczyła dziewięciuset ludzi, w tej liczbie około dwustu jazdy, dowodził zaś nią młody, ale bardzo biegły oficer, Otto von Hohenstein, który szczególniejszym był postrachem *franc tireurów*. Uśmiechała się Mirzie nadzieja pobicia tak wstawionego przeciwnika, dlatego pozwoliwszy się tylko posilić ludziom

Corbeau, ruszył w kierunku gościńca. Była noc, nad lasem zaś zawisła mgła tak gęsta, że o parę kroków nie można było nic dojrzeć. Siedzieliśmy w krzakach po obu stronach drogi ze dwie godziny w takiej ciszy, że słyszałem bicie własnego serca. Pod karą śmierci nie wolno się było odezwać ani słowem, musiałem więc, jako oficer już, czuwać i nad ludźmi, a szczególnie nad Wolakiem, któremu z największym wysileniem przychodziło siedzieć spokojnie. Mieliśmy dokładne instrukcje: wystrzał z pistoletu Mirzy miał być znakiem rozpoczęcia ataku. Słyszałem, że i inne serca biją obok mnie niespokojnie. Nie masz nic bardziej drażniącego, nawet dla starych żołnierzy, jak czekać z zasadzki. Upłynęło jeszcze z pół godziny, nareszcie usłyszeliśmy z daleka skrzypienie kół i miarowe kroki piechoty. Nastąpiła wówczas taka cisza, że słyszałem szmer każdego liścia na drzewie. Kroki zbliżały się. Na koniec nadjechała szpica, składała ją sześciu ułanów. Ludzie ci pod sekretem palili fajki. Wówczas, gdy przejeżdżali koło nas, jeden zbliżył się do drugiego i usłyszeliśmy w ciemnościach głosy:

– Bruder, daj ognia!

– Dadzą tobie Francuzi ognia.

Potem przeszli i znów nastąpiła cisza. Nadciągał wreszcie główny oddział. Na przodzie szła jazda, za nią piechota, ale piechury nie pilnowali porządku. Znać, ludzie ci nie spodziewali się niczego i nie zachowywali nawet zwykłych ostrożności. Maszerując, powtarzali według zwyczaju niemieckiego, w takt z krokami marszu i akcentując ostro każdą sylabę:

– *Fünf – Paar – lederne Strümpfe!*...

A tu śmierć czyhała na nich z obu stron drogi.

Gdy nadciągnęli w sam środek zasadzki, wówczas wśród głuchoj ciszy huknął nagle wystrzał pistoletowy.

Natychmiast odpowiedziała mu grzmiąca salwa karabinowa z lewej strony drogi. Powstała wrzawa nie do opisanania, wśród której słychać było strzały karabinowe, okrzyki: „Formuj się!”, i donośny, spokojny, ale chwilami panujący nad wszystkimi głos niemieckiego dowódcy. Obrócono front na lewo i w tej chwili posypały się na nas gałęzie i liście krzaków, postręcane kulami. Dzielni żołnierze niemieccy szybko stanęli w szyku. Ale w tej chwili druga salwa z prawej strony wstrząsnęła mocno powietrzem. Niemcy uformowali dwa fronty, tymczasem jednak Mirza zamknął już im obydwie ujścia drogi. Posypały się strzały ze wszystkich stron.

Dym powiększył jeszcze grubą, nieprzebitą ciemność. Żołnierze nasi wyli teraz naokoło Niemców, jak stado zgłodniałych wilków. W ciemnościach ci nieszczęśliwi sądzili się być otoczeni przez Bóg wie jakie siły. Strzelali na oślep. Konie ułanów ogłupiały, wystraszone,

poczęły chrapać z przerażenia i mieszać się. Cały oddział ruszył naprzód, przywitała go salwa, w tył – znowu salwa. Nagle wybuchnęła skrzynia z prochem. Konie się rozszalały zupełnie, zamieszanie się wzmogło. Słysząc było głosy: „Światła! Światła!” Wówczas to niemieckiemu dowódcy przysłała nieszczęśliwa myśl oświecenia drogi. Ujrzyliśmy żołnierzy pruskich, podnoszących na bagnietach wiązki palącej się słomy. Krwawe światło oświecało drogę i pobliskie drzewa, ale wyszło ono tylko na naszą korzyść, wiedzieliśmy bowiem, jak strzelać.

– W oficera! w oficera! – zaczęli wołać nasi żołnierze; jakoż przy blasku palącej się słomy ujrzyliśmy wysoką, dumną postać w spiczastym hełmie, ze złotymi binoklami na oczach, stojącą zuchwale na wozie i wydającą rozkazy. Płomienie oświecały ją od stóp do głowy.

– W oficera! – powtórzyły głosy. Kule zawarczały, z wiązek posypały się iskry i płonące żdźbła, ale oficer pozostał nietknięty. Wówczas podbiegł ku nam sam Mirza.

– W oficera! – krzyknął i wyrwawszy Wołakowi karabin przyłożył go do twarzy Strzał buchnął, młody oficer zachwiał się, przechylił w tył i padł głową w dogorywającą wiązkę słomy.

Tymczasem słoma między Prusakami zgasła, salwy stawały się słabsze, rzadsze. Bronili się jeszcze, ale bez nadziei, a tu ogień z naszej strony ożywiał się coraz bardziej, zwierzęce okrzyki żołnierzy stawały się coraz przeraźliwszymi.

Po pięciu jeszcze minutach komenda: „Na bagnety!” – rozległa się po wszystkich szeregach. Ujrzałem znów przez chwilę Mirzę, jak z pochyloną głową i szpadą w ręku wysunął się wraz z falą błyszczących ostrz, ale nagle w szeregach pruskich błysnęła znów zapalona wiązka, a obok niej rozpięta na dwóch bagnietach biała chustka.

– Stój, poddaj się! – zawołały ze wszystkich stron głosy.

Jakoż tak i było. Bitwa skończyła się.

W pół godziny potem cisza, taka jak i niedawno, zalegała tę krwawą drogę; kazałem ją uprzątnąć. Sam odszukałem ciało Ottona von Hohenstein, z twarzą opaloną w płomieniu, i zabrałem jego papiery, a przy tym i portret żony lub narzeczonej, który zachowałem do dziś dnia. Potem poszedłem szukać Mirzy. Znalazłem go na uboczu siedzącego na korzeniach drzew i oddychającego szybko. Włosy miał jeszcze spocone, twarz uczernioną prochem, drżące ręce, ale w oczach świeciła mu duma nieograniczona, której nie próbował ukrywać. Następnego dnia duma jego jeszcze urosła. Odtąd odrzucał wszelkie zdania, a raczej nie pytał o nie nikogo. W obejściu z oficerami stał się despotycznym, ze mną nawet inny był już niż dawniej, skutkiem czego nasze stosunki znacznie ochłodziły.

O La Rochenoirze nie było między nami od owej chwili mowy, ale widziałem, że Mirza bierze górę i poczyną lekceważyć przeciwnika. Ba! stał już teraz na czele dwa razy większych i ślepo sobie oddanych sił, czegoż więc miał się go obawiać?

W dwa dni potem uderzył na wioskę Deux-Ponts, gdzie stały załogi pruskie. Uderzył już nie w nocy, ale w biały dzień. Przyjął bitwę regularną i bitwa ta dodała nowy listek wawrzynu na jego skronie.

Uczył to wbrew rozkazom La Rochenoire'a. Spodziewał się zapewne, że wywoła to między nimi katastrofę, ale widocznie uznał, że czas nadszedł.

Jakoż przysłała wiadomość, że La Rochenoire, napadnięty przez ten czas, poniósł znaczne straty. Gdy Mirza dowiedział się o tym, rzekł do oficerów:

– La Rochenoire wymarnuje tylko ludzi, którzy by mi się przydali.

Oficerowie spojrzeli po sobie w milczeniu. Przecie zamiast uderzyć na Deux-Ponts mógł Mirza pójść na ratunek La Rochenoirowi, bo wtedy mieliśmy już ruchy swobodniejsze. Kolumny ruchome były przetrzebione, znaczniejsze zaś siły ściągnęli Niemcy przeciw armiom regularnym.

Wieczorem tego dnia przyleciał od La Rochenoire'a oficer z rozkazem, żeby Mirza natychmiast maszerował do głównej kwatery.

Pamiętam tę chwilę, jak dziś. Było to w merostwie Deux-Ponts. Oficer stał we drzwiach, trzymając palce przy daszku kepi, Selim zaś siedział przy stole, odczytując powoli rozkaz.

Patrzyłem na niego bacznie. Trudy wojenne widne były na jego twarzy. Wychudł, pobladł i jak gdyby postarzał, a przy tym jakiś odcień surowości przebijał z tych tak dawniej słodkich, młodzieńczych rysów. Znać w nim było człowieka, który przywykł rozkazywać, nie zaś słuchać rozkazów.

Nagle wstał, zbliżył się do oficera i podarłszy w jego oczach rozkaz, cisnął go na ziemię.

– Powiedz pan La Rochenoirowi, że idę do La Mare! – rzekł zimno.

Oficer skłonił się i wyszedł. Wówczas Mirza zwrócił się do mnie:

– Proszę zwołać wszystkich oficerów oddziału.

W kilka minut potem sprowadziłem wszystkich kolegów. Mirza podał im spokojnie swoją nominację, mówiąc:

– Zechciejcie, panowie, odczytać głośno ten dokument.

Jeden z oficerów odczytał głośno rozkaz dyktatora.

Mirza podczas czytania stał dumny i zimny.

Zapadło głucho milczenie.

– Panowie! – rzekł Selim. – Z oddziału rozbójniczego, wyjętego spod praw, stajecie się znowu żołnierzami Rzeczypospolitej. Wasze męstwo, okazane w różnych bitwach, skłoniło prawy rząd do pobłażania. Mam prawo karać, ale wolę przebaczyć. Tym z was, którym by nie podobało się moje postępowanie od czasu przybycia do obozu, oświadczam, że postępowałem według instrukcji i że wreszcie nie potrzebuję się tłumaczyć przed wami. Dodaję przy tym; że każę natychmiast rozstrzelać każdego, kto okaże najmniejsze nieposłuszeństwo.

Ani jeden głos protestacji nie przerwał tej energicznej przemowy. Po niej chwili najstarszy z oficerów, szpakowaty już zupełnie mąż, rodem Włoch, a nazwiskiem Michaelis, pierwszy wyprostował się jak trzcina, przyłożył palce do skroni i rzekł:

– Czekamy na rozkazy.

– Ogłosić żołnierzom zmianę dowódcy.

Oficerowie wyszli i wkrótce głośnie „*Vive la Republique!*”, „*Vive Mademoiselle!*” i „*Abas La Rochoire!*” przekonało nas, jak zmiana została przyjęta.

Gdyby La Rochoire mógł słyszeć te okrzyki, mógłby powtórzyć wraz z królami Salomonem i Gelimerem:

„Wszystko próżność!”

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Mare.

VI

Przyszliśmy tam już późną nocą. Nie zastaliśmy w domu ani pana La Grange, ani Lidii. Okiennice w domu były pozamykane, cisza zalegała szaleć i ogród. Widziałem, jak złe wrażenie uczyniła na Selimie niespodziana nieobecność Lidii. Obiecywał sobie zapewne odetchnąć i dać folgę słodkim uczuciom, jakie dawno już nie powstały w jego duszy, tymczasem spotykał go zawód. Spodziewał się może jakiego listu albo znaku, bo troskliwie wypytywał o wszystko służącą, która zresztą nie umiała nic więcej powiedzieć nad to, że państwo wyjechali i że za trzy dni wrócą. Dla mnie ten wyjazd był zupełnie naturalny, ale Mirza bolał nad nim więcej, niżem się spodziewał, i nie umiał ukryć niespokojności. Był to dla niego jeden z tych wypadków, które same przez się nie znaczą nic, ale które na razie wydają się jakby umyślne przeciwieństwo losu. Sama jednak bytność w domu Lidii zdawała się na Mirzę wpływać korzystnie. Na twarzy jego zniknął ów odcień surowości, a natomiast

pojawił się inny, bardziej miękki wyraz. Nasze stosunki stały się zaraz cieplejsze. Ten groźny wódz strzelców znowu przypomniał mi teraz zakochanego studenta Selima. Wziąwszy mnie pod rękę, błąkał się po całym domu. Dla zakochanego pusty dom, w którym mieszkała droga istota, ma jakiś tajemniczy urok. Słodczy wspomnień miesza się w owym uroku ze smutkiem i z echami, jakimi odbzmiewają opuszczone ściany. Każde z tych ech zdaje się mówić: „Nie ma jej!” Zaszliśmy naprzód do pokoju Lidii. W porcelanowych wazonikach, po obu stronach ubieralni, stały zwiędłe kwiaty, na ubieralni zaś leżał grzebień w kształcie korony, jakie kobiety naszą w warkoczach. Mirza odwrócił się niby do okna, ale widziałem, jak przyciskał do ust ten grzebień. Musiał tę Lidię kochać naprawdę. Zresztą nic w pokoju nie zdradzało niedawnej jej bytności. Firanki znad łóżka były zdjęte, na łóżku nie leżała pościel, znać było, że jakaś ręka robiła tu już głupi porządek, który zatarł wspomnienia mieszkanki tego pokoju. Meble w białych pokrowcach pozakładane były jedne na drugie, lustra i fotografie, wiszące na ścianach, pozasłaniane muślinem. Mirza odsłonił fotografię. Jedna z nich przedstawiała Lidię, jeszcze jako dziecko, w krótkiej sukience. Był to dagerotyp stary i wyżółkły. Twarz była widoczna, ale białe pończoszki dziecka tworzyły już tylko dwie białe plamy, ciemna zaś sukienka zlewała się z tłem. Chciało mi się śmiać z tego portretu, bo Lidia, jako dziecko, widocznie nie była ładna, minkę miała przy tym na tym dagerotypie wystraszoną, usta otwarte, wyraz gapiowaty. Selim odwrócił się ode mnie, jakby nie chcąc, abym spoglądał obojętnym, a może i złośliwym okiem na ten bohomaz. Sądziłem, że jemu musi wydawać się on czymś dziwnie wdzięcznym, ale sądziłem po sobie. Mirza zbyt był trzeźwy i zbyt mało sentymentalny. Jakoż odsunął wkrótce z niechęcią portret i rzekł:

– Ależ to karykatura!

Roześmiałem się szczerze, a on mi zawtórował. Potem zostawiłem go z jego wspomnieniami, sam zaś poszedłem do oficerów, którzy kładli się w sali jadalnej, popijając wino i paląc fajki.

Przed udaniem się na spoczynek, wziąwszy patrol, poszedłem jeszcze pozmieniać strażę. Noc była zimna, ciemna. Pod lasem za chmielnikami wilk wył jak najęty, a złowrogie modulacje jego głosu rozlegały się dziwnie żałobnie. W przerwach, od strony wioski dochodził głos jakiegoś wieśniaka, nawołującego żonę czy córkę:

– Rozyna! Rozyna!

Wróciłem od strony ogrodu. Okna pokoju Lidii były oświetlone. Widocznie Selim jeszcze w nim siedział. Myślałem, że złapię go na marzeniach, ale zastałem go schylonego nad mapą.

– Niemcy są o dzień drogi stąd – rzekł do mnie. – Stoją w dość znacznej sile, ale pojutrze napadnę na nich.

– Kto wie, czy jutro nie będziesz miał rozprawy z La Rochenoirem – odrzekłem.

Machnął ręką.

– Mniejsza o to. Czas z nim skończyć, choć to dla mnie przeciwnik nie wart zachodu.

– Przecenisz się.

– Przyszłość pokaże.

I wymawiając słowo „przyszłość”, spojrzął na mapę i uderzył po niej ręką.

Nazajutrz cały ranek zszedł mu na wydawaniu rozkazów. Spodziewał się bitwy. Ale przedtem „kiszmet” chciał, aby stoczył tę, którą mu przepowiedziałem.

Była godzina trzecia, siedzieliśmy przy obiedzie, gdy drzwi nagle otworzyły się i wszedł La Rochenoire.

W trzydzieści sześć godzin zrobił drogę, wymagającą trzech dni. Pokryty był kurzem i jak gdyby zmęczony. Twarz jego była spokojna, oczy nieruchome, nie znać na nim było żadnego na pozór wzruszenia; podobniejszy był tylko do księdza niż kiedykolwiek. Gdy wszedł, dawni jego oficerowie zerwali się mimo woli na równe nogi.

Mirza spojrzął na niego nieokreślonym wzrokiem, oczy mu błyszczały, ale pozostał spokojny. Widać, był nawet przygotowany, bo skinął na adiutanta, który natychmiast wyszedł z pokoju.

La Rochenoire postąpił kilka kroków. Złowrogie jego oczy nieruchomo spoczywały na Mirzie.

– Przesłałem panu wczoraj rozkaz – mówił z cicha.

– A ja nie uznałem za stosowne go posłuchać.

Połowa twarzy La Rochenoire’a zaczęła drgać nerwowo, jak drgała zwykle w czasie bitew.

– Aresztuję pana! – wyrzekł spokojnie do Mirzy.

Mirza ruszył ramionami i odwróciwszy się rzekł:

– Michaelis! wziąć tego szaleńca.

W tej chwili w nie zamkniętych drzwiach ukazał się adiutant na czele czterech żołnierzy. Żołnierze podeszli automatycznymi ruchami do La Rachonoire’a i stanęli w milczeniu po obu jego stronach.

– W imieniu Rzeczypospolitej jesteś pan aresztowany – rzekł adiutant.

Wówczas ten mały człowieczek w mgnieniu oka skurczył się w sobie i twarz mu pociemniała. W jednej chwili domyślił się wszystkiego: i zemsty Mirzy, i dróg Mirzy. Poznał, że wpadł w straszną zasadzkę, z której było wyjście tylko do grobu.

Ale nie był to człowiek, który by na próżno słowa ronił. Ów zwycięzca w tylu bitwach, ów straszny partyzant nie próbował teraz niczego. Twarz jego nie wyrażała ani sztucznej dumy,

ani sztucznej pogardy; nie piorunował Mirzy wzrokiem, pozostał bierny jakby w poczuciu, że wszystko, co by mógł przedsięwziąć, byłoby tylko próżnym szamotaniem się, przeciwnym jego godności.

Przeciwnie, twarz Mirzy wyrażała powagę władzy. Nie raczył nawet spojrzeć na La Rochenoire'a. Dla niego był to już nie współzawodnik, nie równy mu przeciwnik, ale zwyczajny biedak przed majestatem sądu – *pauvre diable*, którym nie było warto więcej zajmować się, niż tego wymagały paragrafy kodeksu wojennego.

Było w tym wszystkim, w tej nagłej zmianie ról i stosunków, w *tym* bezdennym upokorzeniu tak dumnego, jak La Rochenoire, człowieka, coś tak tragicznego, że dalsze następstwa tej sprawy bladły przed chwilą obecną.

– Wyprowadzić go – rzekł Mirza.

Miarowe kroki żołnierzy odezwały się złowrogo. Odprowadzono La Rochenoire'a do tego domu, w którym nocowaliśmy za pierwszej bytności w La Mare.

Po odejściu aresztowanego w pokoju panowało głuche milczenie. Dziwne jakieś uczucie ścisnęło wszystkich za gardło.

Ludzie wojny nie są zwykle dobrymi chrześcijanami, nie przebaczą przeciwnikom dostawszy ich w ręce, a jednak czułem teraz do Mirzy żywą niechęć.

La Rochenoire przychodził do niego bezbronny, a on występował zbrojny w równą nieubłagalność, ale w większą siłę, w pewność zwycięstwa, w bezpieczeństwo osobiste, w powagę władzy, w majestat sędziego, w straszne paragrafy wojenne, w przemoc.

Słowem, po jednej stronie było wszystko, po drugiej nic.

Wiedziałem przy tym, że Mirza mu nie przebaczy. Sąd wojenny zebrał się. Sędziami byli: Michaelis, Marx i ja. Mirza z obowiązku musiał przydykować. Touvenir pełnił obowiązki sekretarza.

Wprowadzono La Rochenoire'a. Gdym spojrzał na niego, zdawało mi się, że przez tę godzinę postarzał przynajmniej o jaki rok, ale był spokojny, a raczej doskonale obojętny.

Gdy po odczytaniu zarzutów, z których jeden tylko byłby dostatecznym, aby skazać go na śmierć. Mirza spytał go, co ma na swoje usprawiedliwienie, ruszył tylko ramionami.

Przed wydaniem wyroku odprowadzono go na powrót do aresztu. Po czym przystąpiliśmy do wydania wyroku. Mirza usunął się od głosowania.

Przypomniałem sędziom, że obwiniony stoczył przeszło czterdzieści zwycięskich potyczek. Zdawało mi się, iż moje słowa uczyniły pewne wrażenie.

Na koniec podaliśmy wota.

La Rochenoire skazany został na śmierć.

Wypadło mi pójść ogłosić mu wyrok. Czyniłem to z największą przykrością.

Niespodziewanie przyjął mnie nie tylko spokojnie, ale nawet z grzecznością. Gdy po spełnieniu swego smutnego posłannictwa zabierałem się do odejścia, rzekł:

– Wiedziałem, że pan będziesz głosował przeciw śmierci. Gdyby głos twój przeważał, uczyniłbyś mi największą krzywdę.

Po czym wyszedłem, ale przedtem opatrzyłem jeszcze strażę. Dwóch żołnierzy stało we drzwiach, jeden pod oknem od strony chmielnika.

W żadnym razie La Rochenoire nie mógł się ratować ucieczką.

Po czym wróciłem do głównej kwatery, ale nie było mi przeznaczonym spocząć tej nocy. Ponieważ wyrok miał być wykonany wobec wszystkich żołnierzy La Rochenoire, dostałem więc rozkaz sprowadzenia tej części oddziału, która pozostawała dotąd tam, gdzie ją La Rochenoire zostawił.

Wymagało to ogromnych dwóch dni czasu. Nie chciało mi się jechać, ale jeszcze bardziej nie chciało mi się prosić Mirzy, ażeby mnie zastąpił kto inny.

Wziąłem więc kilkunastu żołnierzy z jazdy Corbeau i puściłem się w drogę.

Zaraz za La Mare żołnierze dostrzegli koło kościoła jakiegoś człowieka, który chciał się ukryć w złamach muru cmentarnego. Schwytali go i przyprowadzili do mnie.

Poznałem naszego dawnego przewodnika Hugona.

– Co ty tu robisz? – spytałem go dość groźnie.

Hugon był pijany lub udawał pijanego.

– Ja tu znam każdy krzak – mruzczał. – Z przeproszeniem waszej wielmożności, idę do szaletu. Tam pełno żołnierzy. Przyczołgałem się chmielnikiem, bom myślał, że Niemcy, aż tu żołnierz pod suszarnią chciał mnie bagnetem, rodak to był rodak, nie Niemiec...

Tu Hugo rozplakał się.

– Idź spać, tyś pijany.

– To z biedy, proszę waszej wielmożności, z biedy. Dziś człowiek pod wozem, jutro na wozie... albo i inaczej. Tego wczoraj żołnierze się bali, a jutro rozstrzeliwać go będą.

Jakieś podejrzenie mignęło mi w głowie.

– Widziałeś La Rochenoire'a? – spytałem.

– Tam pełno żołnierzy, proszę waszej wielmożności. Nikogo nie puszczają. A to myślę: prześpię się na cmentarzu. Dziś człowiek żyje, jutro go tam położą.

Przez chwilę przyszło mi do głowy, że może La Rochenoire znalazł jakiś sposób porozumienia się z Hugonem i że może wysłał go po swoich żołnierzy. Ale potem sam roześmiałem się z tej myśli. Przecie Selim miał dwa razy większe siły, a przy tym Hugon nie

mógł przede mną przybyć do tej części oddziału. Zostawiłem go więc na drodze, a sami puściliśmy się dalej.

Nie wiem, jakim cudem wieść o losie La Rochenoire'a przybyła do oddziału przede mną. Oficerowie i żołnierze przyjęli mnie w głuchym milczeniu.

Ale nikt nie okazał najmniejszego nieposłuszeństwa. Było to teraz stado baranów, z którym mogłem robić, co mi się podobało.

Wydałem rozkaz wymarszu i ruszyliśmy natychmiast.

Okolo południa dałem żołnierzom dwie godziny wypoczynku, potem znów nagliłem ich do pośpiechu. Po wioskach chłopcy kryli się przed nami do chałup. Chciałem podwódnym, by jak najprędzej dostać się do La Mare, i zabierałem po drodze wszystkie wozy z końmi. Wszędzie jednak przywołany mer wioskowy na pierwsze pytanie odpowiadał mi:

– Nie ma.

Wówczas przykładałem mu rewolwer do nosa i dotknięcie zimnej lufki miało dziwną własność rozgrzewania merowskiego patriotyzmu: podwody znajdowały się, jakby wychodziły spod ziemi.

Zbliżaliśmy się do La Mare głęboką nocą i w zupełnym porządku. Ja jechałem naprzód z moimi konnymi żołnierzami o pół mili francuskiej od oddziału. Chciałem być pierwszy, a przy tym musiałem się okrzyknąć hasłem z placówkami oddziału Mirzy.

Od strony wioski nie dochodził najmniejszy szmer, ciemno było w niej zupełnie. Mirza zachowywał zawsze ostrożności większe jeszcze od La Rochenoire'a i nie palił nigdy głęboką nocą ognisk.

Byliśmy już niedaleko kościoła. Mój podoficer podjechał do mnie.

– Panie poruczniku – rzekł – placówki się pospały.

– Nie może być – odpowiedziałem – za to śmierć.

Księżyc świecił jasno. Jak okiem sięgnął, nie było widać szyldwachów.

„Co to jest?” – pomyślałem niespokojny.

Przy bramie cmentarnej spodziewałem się jednak, że lada chwilę usłyszę:

– *Qui vive?*

Naokoło panowała cisza.

Podoficer zbliżył się znowu do mnie, szepcząc:

– Panie, tu coś zaszło. Szyby w kościele powybijane.

Spojrzałem pod światło księżyca. Blade jego promienie łamały się na oknach kościelnych, ale w niektórych miejscach widać było czarne, głuche otwory: istotnie szyby były potłuczone.

– Tu musieli się chyba bić – szeptał podoficer.

Brama cmentarna była otwarta, wjechaliśmy na cmentarz.

Nagle kopyto mego konia uderzyło o jakiś twardy przedmiot, który odezwał się głuchym echem.

Sądziłem, że to zapewne czaszka ludzka, ukryta w zielsku, kazałem jednak żołnierzowi, by podniósł ten przedmiot.

Żołnierz zsiadł z konia, schylił się i podał mi pikielhaubę pruską.

Było więc rzeczą pewną, że Mirza bił się podczas mojej niebytności i po bitwie musiał wymaszerować dalej.

Jechaliśmy dalej po cmentarzu, badając każdą wklęsłość ziemi z osobna.

O pięćdziesiąt kroków od miejsca, na którym znaleźliśmy pikielhaubę, leżał pierwszy trup pruskiego piechura. Znać było po nim, że leżał już kilkanaście godzin i że bitwa musiała się odbyć wczoraj.

Coraz nowe jej oznaki wychylały się z trawy i zielska. Miejscami grunt na przestrzeni kilkunasu łokci pokryty był jak śniegiem szczątkami tektury z ładunków; dalej leżały same pruskie trupy, dalej same francuskie, jeszcze dalej jedno i drugie razem, poprzewracane na wznak i na twarz, często wsparte na sobie głowami lub pierściami. Walczono tu widocznie na białą broń. Promienie księżyca schodziły z jednych grup i oświecały coraz nowe. Ciche te grupy zdawały się spać.

– Do szaletu! – krzyknąłem gwałtownie.

Pomknęliśmy jak burza i wypadli na drogę.

Z dala widać było zbliżające się ciemne masy ludzi: to mój oddział dochodził już do początku muru cmentarnego. Wstrzymałem pochód znakiem ręki, sam zaś z moimi ludźmi, omijając trupy, coraz gęściej leżące na drodze, pocwałowałem dalej. W minutę później szalet zarysował się przed nami: okna jednego pokoju były oświecone i otwarte na rościę, również otwarte drzwi od sieni.

Wszedłem pośpiesznie.

W pierwszym pokoju było pusto i ciemno, z następnej sali dochodziło światło przez szpary we drzwiach.

Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty.

Na środku stała niska sofa bez poręczy, a na niej leżał umarły przykryty prześcieradłem, przez które rysował się jego nieruchomy profil.

W głowie zmarłego stały dwie świece kościelne. Przy jego nogach klęczała czarno ubrana kobieta, z czołem opartym o brzeg sofy i z zaciśniętymi nad głową rękoma.

Gdym wszedł, podniosła się. Poznałem Lidie. Twarz jej była blada, surowa, bezsenna, zmęczona, kamienna i postarzała, ale nie zapłakana.

– Panno Lidio!... – zawołałem przyduszonym głosem.

Podeszła ku mnie na palcach, jakby obawiając się zakłócić spokój nieboszczyka, i tak cicho, jak mówi się przy umarłych, szepnęła:

– Nie żyje!

To rzekłszy, wsparła się na moim ramieniu. Suche łkania wstrząsały jej piersią.

Wówczas dopiero przyszła mi myśl, że ten umarły to może być stary La Grange.

Zbliżyłem się szybko do nieboszczyka i podniosłem zasłonę. Spod prześcieradła wionęło trupim chłodem. Żółte światło świec padło na zsiniałą twarz ze wzdętymi ustami, wykrzywioną, okropną.

Była to twarz... Selima Mirzy.

VII

Nazajutrz rano przeprowadziłem śledztwo, z którego okazało się, co następuje: La Rochenoire porozumiał się istotnie z Hugonem, któremu wydał rozkaz zawiadomienia Prusaków o postoju Mirzy w La Mare. Hugon podprowadził ich chmielnikami tak zręcznie, że placówki dały dopiero wówczas ognia, kiedy oddział całkowicie był otoczony. Rozpoczęła się bitwa. Mirza poległ z samego jej początku. La Rochenoire zaś, który działając w widokach zemsty, nie liczył nawet na osobiste ocalenie, wśród powszechnego zamieszania zdołał jednak przy pomocy Hugona wydostać się w chmielniki, a stamtąd przedrzeć się do lasów.

W rok potem, już po wojnie, dowiedziałem się o jego pobycie w Wenecji. Odziedziczył znaczny majątek w Bretanii, ożenił się i żył spokojnie.

Nie mogłem sprawdzić, czy żoną jego była Lidia La Grange.